Nr ISSN 1898-3081 | Nr indeksu 349-682

9 771898 308059 13

magazyn POLSKA Puls
METROPOLIA WARSZAWSKA

Piątek–niedziela, 27–29.03.2026
Nr 25 (2536) • Cena 7,00 zł (w tym 8% VAT)

FOT. KRZYSZTOF SZLĘZAK / MAT. PRAS.

s.18–19

Muniek Staszczyk: Jestem po poważnym udarze, ale wróciłem do żywych. Mówiąc po chrześcijańsku, grzechem byłoby narzekać

FOT. GETTY IMAGES

Informacje z Kraju i ze Świata www.i.pl

s.14

Czym jest czas? I dlaczego wciąż nas tak bardzo oszukuje?

s.20

Justyna Sieńczyłło o niepewnym losie warszawskiego Teatru Kamienica

s.6–7

Choć do wyborów zostało jeszcze półtora roku, polityczna temperatura gwałtownie rośnie, a tematów sporu przybywa

Polityczny stan podgorączkowy

REKLAMA 0011484841

eprasa.pl aa87686048

AUTOPROMOCJA 0210987190

Zamów **prenumeratę**
Polska Metropolia Warszawa 12 312 53 88
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

W poniedziałek **magazyn**

Najlepsze i najgorsze straże miejskie w Polsce. Kto wystawia najwięcej mandtów mieszkańcom?

Arlena Sokalska
redaktor naczelna „Polski"

PO TO WŁAŚNIE SĄ DZIENNIKARZE

Przyszło nam żyć w czasach, gdy wielu z nas uważa, że tzw. tradycyjne media są niepotrzebne, podobnie jak dziennikarze. Przecież wszystko można znaleźć na TikToku, a tzw. influencerzy świetnie tłumaczą świat. Aż pojawia się taka sprawa, jak ta ze Szczecina. Otóż od trzech lat prokuratura nęka młodego człowieka Karola Ś., bo został pomylony z innym mężczyzną o tym samym imieniu i nazwisku. Sprawą zajął się dziennikarz „Głosu Szczecińskiego" Mariusz Parkitny. W ciągu dwóch dni odkrył po pierwsze pomyłkę, po drugie przyczynę pomyłki. On sam porównuje niesłusznie oskarżonego chłopaka (był wówczas maturzystą) do Józefa K. z „Procesu" Franza Kafki. „Te same imiona i nazwiska, ale dwie różne osoby, a tylko jedna z nich może być winna. Czy to możliwe, że doświadczony prokurator oskarżył nie tego Karola Ś., którego powinien?" – pytał Mariusz Parkitny.

Ale pytania zadawał również policjantom i prokuraturze nadrzędnej. I tak Prokuratura Okręgowa w Szczecinie bardzo szybko wykryła, że faktycznie doszło do pomyłki. „Akt oskarżenia został skierowany wobec niewłaściwej osoby, co było niezależną decyzją prokuratora referenta – potwierdziła wczoraj prok. Julia Szozda z Prokuratury Okręgowej w Szczecinie. Będzie się tam toczyć wewnętrzne śledztwo, jak mogło dojść do takiej pomyłki.

Ale to nigdy by się nie stało, gdyby nie publikacje dziennikarza „Głosu Szczecińskiego".

Kiedy byłam młodą dziennikarką, jeden z moich mentorów, dość specyficzny starszy pan, zawsze mi powtarzał, że sensem bycia dziennikarzem jest próba dotarcia do prawdy. Czasem się to udaje, czasem nie, ale najważniejsze, by próbować odkryć tę prawdę. Bo inaczej lepiej nie zajmować się dziennikarstwem, tylko wybrać jakiś mniej obciążający zawód. I Mariusz Parkitny, dziennikarz „Głosu Szczecińskiego" – jak bardzo patetycznie by to nie brzmiało – dotarł do prawdy. A przy okazji odmienił życie niesłusznie oskarżanego młodego mężczyzny, który stał się ofiarą tej prokuratorskiej pomyłki.

I taka właśnie powinna być rola mediów i dziennikarzy, o czym często my, społeczeństwo, wolimy nie pamiętać.

O sprawie szerzej piszemy na str. 8-9

Drugi dzień jesteśmy świadkami coraz bardziej prorosyjskiego kursu pana Orbana. Wizyta prezydenta Nawrockiego, delikatnie mówiąc, nie przyniosła zmiany tego kursu

Premier Donald Tusk pytany o wizytę prezydenta na Węgrzech

O ODKRYCIACH NAUKOWYCH, KTÓRE UNIESZCZĘŚLIWIAJĄ

Ryszard Tadeusiewicz
profesor AGH

W poprzednim tygodniu przedstawiałem fe lieton opowiadający o uczonym, który był nieszczęśliwy z powodu użytku, jakiego dokonano z jego osiągnięciem naukowym. Takim uczonym był Robert Oppenheimer, który zbudował bombę atomową, a potem był wstrząśnięty skutkami jej użycia. Dzisiaj będę kontynuował.

Człowiekiem, który naukowo odkrył (stworzył?) produkt, a potem przeżywał skutki jego użycia, był między innymi Fritz Haber, wybitny chemik niemiecki pochodzenia żydowskiego. Opracował on między innymi technologię wytwarzania związku chemicznego nazwanego Cyklon B. W zamierzeniu twórcy miał to być środek do zabijania insektów (głównie przy odpluskwianiu i odwszaniu statków). Ale, jak wiadomo, Cyklon B był substancją, którą hitlerowcy stosowali do mordowania Żydów w komorach gazowych. Czy może być większy paradoks?

W matematyce przykładem takiego pechowca był Kurt Gödel. Znalazł on odpowiedź na pytanie, które na początku XX wieku postawił Dawid Hilbert. Hilbertowi chodziło o udowodnienie, że matematyka jest niesprzeczna. To znaczy szukał on absolutnie pewnego dowodu, że nigdy nie dojdzie do tego, iż stosując reguły matematyczne, uda się udowodnić jakieś twierdzenie, a potem równie ściśle uda się udowodnić jego zaprzeczenie. Taka sytuacja nigdy wprawdzie nie zaszła, ale Hilbert domagał się dowodu, że ona nigdy nie zajdzie!

Matematycy trudzili się nad tym zagadnieniem, tworzyli ogromne dzieła mające dowodzić, że matematyka z pewnością jest niesprzeczna. Między innymi sławny matematyk Bertrand Russel w latach 1910-1913 stworzył (wraz z Alfredem Whiteheadem) monumentalne dzieło zatytułowane „Principia Mathematica". Cały matematyczny świat uznał, że oto znaleziono potrzebny dowód. I wtedy młody matematyk austriacki Kurt Gödel wydał w 1931 roku mały artykuł pod pozornie niewinnym tytułem: „O formalnej nierozstrzygalności »Principia Mathematica« i systemów pokrewnych".

To był dramat!

Gödel wykazał, że w każdym sformalizowanym systemie (matematyka jest jednym z takich sformalizowanych systemów, ale niejedynym) będą zawsze istniały takie twierdzenia, skądinąd prawdziwe, których się jednak udowodnić nie da. Nie da się też w takim sformalizowanym systemie obalić formalnie wielu stwierdzeń ewidentnie nieprawdziwych. Po prostu każdy taki system podlega ograniczeniom.

Twierdzenie Gödla miało fundamentalne znaczenie dla matematyki, pośrednio przenosiło się do filozofii (pokazywało ograniczoność wszelkich metod ścisłego poznania czegokolwiek), a także obecnie ma znaczenie w informatyce, dowodzi bowiem, że istnieją i będą istniały problemy (także praktyczne!), których nie da się rozwiązać przy pomocy komputera, bo jest on maszyną działającą według sformalizowanych reguł. Obecnie przyznawane są w informatyce nagrody Gödla.

Ogłoszenie twierdzenia Gödla spowodowało, że sam twórca tego twierdzenia stał się osobą sławną i był zapraszany na wykłady do najlepszych uniwersytetów, między innymi w USA - do Princeton. Jednak on sam, uświadomiwszy sobie, jak bardzo „przewrócił do góry nogami naukę", popadł w depresję, z której musiał się leczyć psychiatrycznie. Całkowicie wyleczyć się go nie dało i do końca życia Goedel był częstym pacjentem w różnych szpitalach.

JAK BYĆ ZA, A NAWET PRZECIW

Marek Mazurkiewicz
publicysta, politolog

Już 12 kwietnia oczy obserwatorów europejskiej polityki zostaną zwrócone na Budapeszt. Węgrzy będą wybierać parlament i po raz pierwszy od 2010 r. rządzący Fidesz ma szanse te wybory przegrać. Od kilku miesięcy kolejne sondaże pokazują, że Péter Magyar, były członek Fideszu, który założył własne ugrupowanie - Partię Szacunku i Wolności, w skrócie Tisza - może, o ile sondażowe sympatie przełożą się na wynik wyborczy, odsunąć od władzy określanego „koniem trojańskim Putina" Viktora Orbána.

Politycy europejscy subtelnie angażują się w tę kampanię. Obóz konserwatywno-populistyczny odwiedza i zachęca do poparcia Orbána, politycy centroprawicy, w tym premier Donald Tusk, wspierają Pétera Magyara. Takie polityczne gesty nie są niczym nowym, bo w ten sposób europejscy liderzy budują „więź ideową".

Przypadek Orbána jest jednak inny. Za jego sprawą w międzynarodowym języku polityki zadomowiło się pojęcie „demokracji nieliberalnej", czyli ustroju, w którym wyłączono niemal wszystkie „bezpieczniki" rządów ludu, jak niezależne sądy, wolne media, uczciwe wybory i prawa mniejszości.

Jego pomysł na „reformę" demokracji naśladowano w Polsce w czasie rządów PiS. Jarosław Kaczyński chciał mieć wszak w Warszawie „drugi Budapeszt".

Od wybuchu wojny w Ukrainie Orbán konsekwentnie utrudnia Unii Europejskiej wsparcie Kijowa w walce z najeźdźcą i jest jednym z nielicznych polityków Unii, który utrzymuje przyjazne relacje z Putinem. Najnowsze rewelacje amerykańskiego dziennika „Washington Post" wskazują, że premier Węgier dopuszcza się dywersji, bo jego dyplomaci mieli zdradzać europejskie tajemnice Kremlowi.

Mimo tych kontrowersji prezydent Karol Nawrocki zdecydował się wesprzeć Orbána na finiszu węgierskiej kampanii wyborczej, licząc, że jego sympatycy zdążyli już zapomnieć, jak jeszcze jesienią oburzały go relacje węgierskiego premiera z rosyjskim dyktatorem.

Leszek Kołakowski pisał, że szczęściem świata jest to, iż ludzie nie są konsekwentni. Problem w tym, że w polityce niekonsekwencja często przybiera formę oportunizmu.

To polityczny szpagat, przypominający słynny bon mot Lecha Wałęsy - „jestem za, a nawet przeciw".

eprasa.pl aa87686048

Z CZEGO JUTRO ...? RAPORT MNIEJSZOŚCI OD MAGISTRA DO PREZYDENTA

Andrzej Sadowski
Centrum. im. Adama Smitha

Zanim współzałożyciel i prezes Nvidii ogłosił 23 marca przełom stwierdzając, że już teraz osiągnęliśmy poziom ogólnej sztucznej inteligencji AGI, która ma umiejętność uczenia się, adaptacji i podejmowania decyzji w różnych dziedzinach bez potrzeby specjalnego programowania, to na początku tego miesiąca w Polsce ujawniono sprawę urzędniczki Krajowej Administracji Skarbowej ze Szczecina oskarżonej o przeglądanie danych finansowych osób, w tym Prezydenta Rzeczypospolitej Polski. Urzędniczka ta powinna zostać bohaterką sygnalistów, bo ujawniła możliwość podglądania każdego obywatela niezależnie od jego statusu politycznego, z którego mogą czynić użytek również instytucje państw przyjaznych i nieprzyjaznych naszemu państwu. Politycy stworzyli system, który może być w każdej chwili wykorzystany również przeciwko nim. Złowroga doniosłość tego zdarzenia, które próbuje się przedstawić jako motywowane „zwykłą ciekawością" roztopiła się w przetaczających się przez świat proroctwach o postępującym odzieraniu obywateli z prywatności przez AI oraz zagrożeniu dla ludzkiego gatunku z wizji filmu „Terminator" i systemu „Skynet", ustępując biurokratycznej prozie formalnie demokratycznych systemów, w których prawa obywateli do prywatności stały się urzędową i prawną fikcją.

W roku 2026 jesteśmy coraz bliżej wizji Philipa K. Dicka i Stevena Spielberga z „Raportu mniejszości", bowiem od momentu wdrażania systemów kontroli z mechanizmami „pre-crime", czyli przewidywania przestępstw, w którym rządy w Polsce i Unii zamiast jasnowidzów używają algorytmów Big Data wychodzimy już ze sfery s-f. W czasach represyjnego systemu realnego socjalizmu „przywilej" posiadania osobistych teczek posiadali nieliczni obywatele, którzy przez policję polityczną zostali zakwalifikowani jako „elementy podejrzane i wywrotowe". W systemie, w którym „Rzeczpospolita Polska jest demokratycznym państwem prawnym, urzeczywistniającym zasady sprawiedliwości społecznej", „swoje" teczki ma już każdy obywatel w urzędzie skarbowym i w przeciwieństwie do „słusznie minionego ustroju" musi pod groźbą kar sam na siebie składać donos w postaci zeznań podatkowych.

W policyjnym peerelowskim państwie system „MAGISTER" wdrożono przede wszystkim jako narzędzie kontroli operacyjnej, później w zintegrowanym z nim systemie PESEL oraz bazach MSW. Już wówczas stosowano system kodowy, który pozwalał milicjantowi lub funkcjonariuszowi Służby Bezpieczeństwa na błyskawiczną ocenę „przydatności" lub „zagrożenia", jakie stwarzał dany absolwent czy naukowiec. Zanim w dzisiejszym systemie każdemu przyznano ocenę zdolności kredytowej to w jego początkach rozpoczęto kodowanie „postawy polityczno-ideowej". W systemie tym kategoria „A" tylko technicznie oznaczała osoby z wyższym wykształceniem. W praktyce operacyjnej tamtego okresu system nie był zwykłym spisem statystycznym tylko służył policji politycznej do typowania kadr dla systemu jak i jego wrogów. Osoba z kategorią „A", czyli wykształcona, która była jednocześnie członkiem partii rządzącej PZPR i wykazywała się lojalnością, trafiała do tzw. rezerwy kadrowej lub na listę osób przewidzianych do awansów w aparacie państwowym.

Dawne „algorytmy" policji politycznej zastąpiono podejściem scoringowym. W PRL flagowano za „brak lojalności", a dziś systemy podatkowe i bankowe flagują obywatela za „nietypowy model zachowania". System STIR jest finansowym „precrime" stanowiąc dziś najbliższy odpowiednik „Raportu mniejszości". Nie czeka, aż przedsiębiorca popełni według niego oszustwo podatkowe, bo algorytmy online analizują jego przelewy i nadają mu wskaźnik ryzyka. W „Raporcie mniejszości" pojawiały się błędy, które system sam ukrywał. W roku 2026 mamy analogiczny problem z brakiem transparentności algorytmów. Jeśli algorytm się pomyli, to urzędnik często bezkrytycznie bardziej zaufa maszynie, bo „komputer tak pokazał" niż własnemu osądowi zwolnionemu dodatkowo z jakiejkolwiek realnej odpowiedzialności, co czyni obronę i dochodzenie swoich praw niemal niemożliwe jak przez Józefa K., bohatera „Procesu" Franza Kafki.

W roku 2018 szef Krajowej Administracji Skarbowej zyskał prawo do blokady konta na 72 godziny z możliwością przedłużenia do 3 miesięcy bez wcześniejszej zgody sądu, jeśli istnieje podejrzenie przestępstwa skarbowego. Moment narodzin w Polsce „Skynetu" miał miejsce właśnie w roku 2018, w którym „maszyna" skarbowa zyskała stałe, technologiczne połączenie z systemami bankowymi. Kolejny etap nastąpił 1 lipca 2022, kiedy uprawnienie do wglądu w konta osób fizycznych rozszerzono z poziomu „podejrzanego" na każdą osobę objętą „postępowaniem przygotowawczym", nawet w sprawie, a nie przeciwko osobie.

Jesteśmy w fazie miękkiego „Raportu mniejszości". Nie aresztuje się obywateli fizycznie za myśli, ale systemy prewencyjnie ograniczają nasze prawa ekonomiczne i obywatelskie na podstawie statystycznego prawdopodobieństwa winy i tym samym doświadczamy najwyższego stopnia asymetrii w historii, gdzie państwo ocenia naszą przyszłość, a my nie mamy wglądu w kryteria tej oceny.

Nie jesteśmy narodem urodzonych przestępców a tym bardziej podejrzanych, aby jakakolwiek władza miała wgląd w nasze życie 24 godziny na dobę bez kontroli sędziów. Konstytucyjnym wręcz nakazem uczciwej wobec obywatela władzy jest przywrócenie tajemnicy bankowej, od której odstępstwa dopuszczalne byłyby tylko za zgodą sędziego.

Andrzej Sadowski – założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha – pierwszego w Polsce think tanku działającego od 16 września 1989 r.

REKLAMA 0011483012

eprasa.pl aa87686048

Rząd obniża ceny na paliwa. Czy Amerykanie zdołają odblokować Cieśninę Ormuz?

Rząd zapowiada program CPN – Ceny Paliwa Niżej. To odpowiedź na niepewną sytuację na Bliskim Wschodzie, która sprawia, że ceny paliw są bardzo chwiejne

Marcin Koziestański, Grzegorz Kuczyński

Po obniżeniu stawki VAT na paliwa z 23 proc. na 8 proc. i akcyzy na benzynę i olej napędowy, ceny detaliczne paliw mają spaść o około 1,2 zł na litrze - poinformował w czwartek premier Donald Tusk. Dodał, że codziennie minister energii będzie ustalać maksymalne ceny paliw.

- Przygotowaliśmy obniżenie stawki VAT na paliwa z 23 proc. na 8 proc. i obniżenie akcyzy na paliwa do minimum wymaganego przepisami unijnymi, czyli akcyzy na benzynę o 29 groszy, a na olej napędowy o 28 groszy - powiedział szef rządu.

- Przygotowaliśmy także mechanizm, aby obniżenie tych obciążeń podatkowych akcyzowych wpłynęło realnie na ceny. Żeby nie nabiło kieszeni tym, którzy zajmują się obrotem paliw, tylko żeby rzeczywiście przymusić tymi działaniami do realnych obniżek.

Cena maksymalna detaliczna paliwa będzie ustalana każdego dnia.

- Przygotowaliśmy pakiet CPN - Ceny Paliwa Niżej. Ma on być skuteczny przede wszystkim tam, gdzie kierowcy odczuwają ceny najbardziej, czyli na stacjach benzynowych - zaznaczył premier Tusk.

Dodał, że celem jest maksymalny wpływ na to, co jest w zasięgu Polski, aby ceny paliw były „najniższe z możliwych". - Zdecydowaliśmy się na podjęcie działań w pełni świadomi, że w decydującej mierze sytuacja na rynku paliw na świecie i w Polsce będzie zależała od tego, co się dzieje na wojnie na Bliskim Wschodzie - powiedział szef rządu.

Premier zaznaczył, że przepisy są tymczasowe i ma nadzieję, że wejdą w życie w trybie przyspieszonym, aby jeszcze przed świętami Polacy odczuli różnicę. Zaznaczył, że oczekiwana różnica ma wynieść nawet 1 - 1,20 zł na litrze.

- Obniżając podatki, chcemy jednocześnie wyeliminować ryzyko nieuczciwych praktyk polegających na zwiększaniu zysków przez sprzedawców paliw kosztem kierowców - dodał.

Donald Tusk wyjaśnił, że obniżając podatki, rząd wyeliminuje równocześnie ryzyko stosowania nieuczciwych praktyk, które mogłyby polegać na zwiększaniu zysków przez sprzedawców paliw.

Szef rządu poinformował ponadto, że codziennie minister energii będzie ustalać maksymalne ceny paliw.

Nie będzie limitowania sprzedaży paliwa

- Będziemy dokładnie monitorowali czy skala (turystyki paliwowej) będzie wymagała jakiegoś działania, czy też nie - powiedział premier pytany na konferencji prasowej, czy proponowane rozwiązania dotyczące obniżek cen paliw na stacjach nie spowodują pojawienia się turystyki paliwowej.

Szef rządu zapewnił, że jesteśmy w dobrej sytuacji - jeśli chodzi o stabilność dostaw ze względu na zapasy paliw, jakimi Polska dysponuje.

- W związku z tym na razie nie przewidujemy żadnych form limitowania sprzedaży paliwa. Dobrze pamiętamy, jak ludzie reagują jak jakiś rząd wpada na pomysł. Będziemy ograniczali limitami podaż paliwa, (a) wtedy powstaje wrażenie, że paliwa zaraz zabraknie, trzeba kupić na zapas i się robi kłopot - zauważył premier.

Szef rządu przyznał, że rząd nie zawaha się użyć „twardych narzędzi", jeśli zjawisko turystyki paliwowej miałoby miejsce. Podkreślił jednocześnie, że muszą być one zgodne z prawem, ponieważ dotyczyłyby wspólnego rynku UE.

Ropa na świecie nadal bardzo niestabilna

Notowania ropy na światowych rynkach w ostatnich dniach pozostają zmienne. Kontrakty na ropę West Texas Intermediate na giełdzie New York Mercantile Exchange kosztują około 92,25 dolara za baryłkę, natomiast ropa Brent na giełdzie ICE Futures Europe jest wyceniana na ponad 104 dolary za baryłkę.

Wahania cen surowca są związane m.in. z konfliktem w regionie Zatoka Perska oraz zakłóceniami transportu ropy przez Cieśninę Ormuz, które doprowadziły do wstrzymania części produkcji ropy i pracy rafinerii w regionie.

PATRONAT NASZEMIASTO.PL 0011491124

Podsumowanie: 20. Półmaraton Warszawski - rekordowa frekwencja, pierwsze polskie zwycięstwo od 13 lat i wielka miejska impreza na 100 tys. osób

Jubileuszowy 20. Półmaraton Warszawski przeszedł do historii jako największy bieg uliczny, jaki kiedykolwiek odbył się w Polsce. W niedzielę 22 marca na ulice Warszawy wybiegło łącznie 30 344 uczestników w dwóch biegach. Rywalizację na dystansie 21,0975 km wygrali Amon Kiptoo (Kenia) z czasem 1:01:09 oraz Polka Elżbieta Glinka z wynikiem 1:09:25. Najszybszym Polakiem był Mateusz Kaczor z czasem 1:04:40. Ale ten dzień należał nie tylko do elity. Około 100 tys. kibiców na trasie, 40 stref muzycznego kibicowania oraz live act Mery Spolsky na Krakowskim Przedmieściu - Warszawa po raz kolejny była gospodarzem imprezy na światowym poziomie. To także dzień, w którym - w ramach charytatywnej akcji #BiegamDobrze - uczestnicy biegu po raz pierwszy zebrali ponad milion złotych!

Wyniki 20. Półmaratonu Warszawskiego

W rywalizacji sportowej najszybszy okazał się Amon Kiptoo (Kenia), który ukończył trasę z czasem 1:01:09, wyprzedzając Samuela Naibei Kiplimo (Kenia, 1:02:06) i Hamzę Sahila (Maroko, 1:02:21). Wśród kobiet triumfowała Elżbieta Glinka z wynikiem 1:09:25, przed Ezzahrą Fatimą Birdahą (Maroko, 1:10:13) i Jelegat Hildą Kiptum (Kenia, 1:10:41).

Elżbieta Glinka jest pierwszą od 2013 roku Polką, która wygrała Półmaraton Warszawski. Jej rezultat to jednocześnie drugi najlepszy wynik w historii polskiego biegania kobiet na tym dystansie.

Najszybszym Polakiem był Mateusz Kaczor, uplasował się na 8. miejscu z czasem 1:04:40.

Open - mężczyźni

1. Amon Kiptoo (Kenia) - 1:01:09
2. Samuel Naibei Kiplimo (Kenia) - 1:02:06
3. Hamza Sahil (Maroko) - 1:02:21

Open - kobiety

1. Elżbieta Glinka (Polska) - 1:09:25
2. Ezzahra Fatima Birdaha (Maroko) - 1:10:13
3. Jelegat Hilda Kiptum (Kenia) - 1:10:41

Pełne wyniki 20. Półmaratonu Warszawskiego dostępne są na stronie: ***www.polmaratonwarszawski.com***

Największy bieg w historii Polski

Jubileuszowa 20. edycja Półmaratonu Warszawskiego pobiła wszelkie dotychczasowe rekordy frekwencji polskich biegów ulicznych. Na dystansie 21,0975 km do rywalizacji przystąpiło 22 562 zawodników, a dwie godziny wcześniej na starcie New Balance Biegu na Piątkę stanęło 7782 biegaczy. Łącznie niedzielny weekend biegowy zgromadził 30 344 uczestników na starcie - to wynik, który plasuje Warszawę w gronie najważniejszych miast biegowych w Europie.

Pakiety startowe na półmaraton wyprzedały się dwa miesiące przed biegiem, a limit 25 tysięcy miejsc został wyczerpany w rekordowym tempie. Wśród uczestników znaleźli się biegacze ze 100 krajów. Niemal co trzeci uczestnik to przedstawiciel pokolenia Gen Z - potwierdzenie, że bieganie w Polsce przeżywa prawdziwy boom, przyciągając coraz młodsze pokolenia.

- Dwadzieścia lat temu startowaliśmy z tysiącem biegaczy. Dziś patrzę na 30 344 osób, które przebiegły ulicami Warszawy, na 100 tysięcy kibiców, na miasto, które tańczy i kibicuje od startu do mety. To jest moment, w którym widać, jak daleko zaszliśmy. Warszawa dołączyła do grona wielkich miast biegowych w Europie i zamierzamy w tym gronie zostać na stałe - mówi **Marek Tronina, dyrektor Fundacji „Maraton Warszawski".**

Warszawa tańczyła od startu do mety

Hasło tegorocznej jubileuszowej edycji „Let's Run This Party!" oddało dokładnie to, co działo się na ulicach - Warszawa bawiła się od startu do mety. Wzdłuż trasy biegnącej przez pięć warszawskich dzielnic rozlokowano 40 oryginalnych stref kibicowania z muzyką na żywo, DJ-ami i animacjami. Średnio co 500 metrów biegacze wpadali w kolejną falę dźwięku i dopingu.

Na jednym z punktów trasy na Krakowskim Przedmieściu, prosto z ulicy zagrała Mery Spolsky. Na mecie na błoniach PGE Narodowego na zawodników czekała kolejna muzyczna niespodzianka: Reni Jusis serwowała DJ sety, witając finisherów i rozkręcając wielką imprezę. Trzy zespoły z wytwórni Kayax zagrały w różnych punktach trasy, a kilkudziesięciu innych muzyków dopełniło oprawę, która zamieniła trasę biegu w kilkunastokilometrowy festiwal pod gołym niebem.

Kibice przyszli tłumnie - nie tylko po to, by dopingować bliskich, ale żeby samemu poczuć atmosferę wydarzenia. Wiele stref kibicowania przygotowali partnerzy, lokalne społeczności i organizacje charytatywne. Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat, Aleje Jerozolimskie, Żoliborz - każda z dzielnic na trasie dodawała własny koloryt i energię.

- To był dzień, w którym Warszawa pokazała, że wielki bieg uliczny to coś więcej niż rywalizacja sportowa. To święto miasta, które łączy ludzi - biegaczy, kibiców, artystów, mieszkańców. Podobną energię znam z biegów w Londynie czy Berlinie. Cieszę się, że teraz mamy ją też w Warszawie - mówi **Magdalena Skrocka, COO Fundacji „Maraton Warszawski".**

Padł pierwszy milion! #BiegamDobrze z rekordowym wynikiem

Ponad milion złotych - właśnie tyle udało się zebrać podczas jubileuszowej edycji 20. Półmaratonu Warszawskiego w ramach akcji #BiegamDobrze. To moment przełomowy i najlepszy dowód na to, jak wielką siłę ma bieganie, kiedy łączy się je z pomaganiem.

Ale to jeszcze nie koniec. Zbiórki w ramach #BiegamDobrze trwają do **31 marca**, więc każdy nadal może dołożyć swoją cegiełkę, stać się częścią tej historii i śrubować kolejny rekord ustanowiony w ramach 20. Półmaratonu Warszawskiego.

Biegowy weekend w liczbach

Uczestnicy Półmaratonu (21,0975 km): 22 562
Uczestnicy New Balance Biegu na Piątkę (5 km): 7782
Łącznie na starcie: 30 344
Kraje reprezentowane przez biegaczy: 100
Strefy kibicowania na trasie: 40
Wolontariusze: 1800
Szacowana liczba kibiców na trasie: blisko 100 tysięcy

eprasa.pl aa87686048

FOT. PAP/RADEK PIETRUSZKA

Donald Tusk wyjaśnił, że obniżając podatki, rząd wyeliminuje równocześnie ryzyko stosowania nieuczciwych praktyk

Czy Stany Zjednoczone odblokują Ormuz?

Administracja Donalda Trumpa rozważa o blokadę lub przejęcie irańskiej wyspy Chark, aby wywrzeć presję na Teheran w celu ponownego otwarcia Cieśniny Ormuz. Taki ruch Amerykanów mógłby złamać opór Iranu. Wszak wyspa ta jest centrum energetycznym, przez które przechodzi 90% irańskiego eksportu ropy naftowej, a także siedzibą kluczowych irańskich instalacji wojskowych.

Administracja prezydenta USA Donalda Trumpa zaczęła rozważać opcje blokady lub nawet zajęcia perły w energetycznej koronie islamskiej republiki po tym, jak Stany Zjednoczone zbombardowały instalacje wojskowe na wyspie, która jest wielkim hubem odpowiadającym za 90% irańskiego eksportu ropy.

Trump stara się na wszelkie sposoby opanować skutki zamknięcia Cieśniny Ormuz przez Iran. Teheran nadal też atakuje aktywa energetyczne w Zatoce Perskiej. Kluczem do rozwiązania problemu może być uderzenie w Chark, która leży około 480 km na północny zachód od cieśniny. Już 13 marca siły zbrojne Stanów Zjednoczonych przeprowadziły naloty na dziesiątki celów wojskowych na wyspę, ale oszczędziły obiekty energetyczne, chcąc wysłać sygnał do islamskiej republiki.

Chark to serce naftowego sektora Iranu

Wyspa o długości około 8 km leży około 26 km od wybrzeża Iranu, w wodach wystarczająco głębokich, aby pomieścić duże tankowce, które nie mogą dokować wzdłuż większości płytkiego wybrzeża kontynentu.

Według raportu JP Morgan, powołującego się na dane Kpler, Chark ma pojemność magazynową około 30 milionów baryłek i na początku marca przechowywano tam około 18 milionów baryłek ropy. Zgodnie z raportem amerykańskiej Agencji Informacji Energetycznej (EIA) z 2021 r. wyspa ma również zdolność przeładunkową do 7 milionów baryłek ropy dziennie, co czyni ją najważniejszym aktywem energetycznym reżimu.

Według agencji Bloomberg dzienna produkcja ropy w Iranie w 2025 r. wynosiła średnio około 3,3 mln baryłek dziennie, a przed wojną eksport ropy naftowej z Iranu wynosił średnio około 1,5 mln baryłek dziennie, z czego lwia część pochodziła z Chark.

Ropa głównym źródłem zysków Iranu

Pomimo zachodnich sankcji ropa stanowi dla Islamskiej Republiki Iranu kluczowe źródło dochodów. Szacuje się, że eksport ropy przyniósł 35,8 mld dolarów w okresie od marca 2023 r. do marca 2024 r. W 2025 r. eksport wzrósł pomimo nowych sankcji nałożonych przez administrację Trumpa, a przychody oszacowano na 30–60 mld dolarów. Około 90% eksportu ropy trafia do Chin, głównie do niezależnych rafinerii typu „teapot", które kupują ropę po obniżonej cenie.

Znaczna część tych dochodów wspiera budżet Iranu, a w coraz większym stopniu także jego działania wojskowe i regionalne. Agencja Reuters poinformowała w grudniu 2024 r., że irański Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej (IRGC) kontroluje 50% irańskiego eksportu ropy.

Skąd Iran eksportuje ropę i gaz?

Chark, wraz z wyspami Lavan i Sirri, obsługuje prawie cały irański eksport ropy, choć według danych EIA Lavan i Sirri mają znacznie mniejsze możliwości magazynowania i załadunku. Iran obsługuje również mniejsze terminale w Cyrus i Bahregansar, a także obiekty nad Morzem Kaspijskim oraz w Assaluyeh, służące do eksportu gazu z pola South Pars.

Łącznie obiekty te obsługują jedynie niewielką część całkowitej produkcji Iranu i są nastawione głównie na ropę lekką, produkty rafinowane lub kondensat, a nie na eksport ropy naftowej na dużą skalę. Znaczna część ich produkcji jest wykorzystywana na rynku krajowym lub w handlu regionalnym, a nie wysyłana na rynki światowe.

Aktywa wojskowe na Chark

Z punktu widzenia bezpieczeństwa wyspa jest jednym z najważniejszych aktywów Iranu. Jest ona silnie strzeżona przez IRGC i opisywana jako miejsce „zakazane" ze względu na swoją kluczową rolę w przychodach z ropy, które w 2024 r. stanowiły ponad 57% rządowych dochodów z eksportu. Ewentualna okupacja wyspy spowodowałaby również, że siły amerykańskie znalazłyby się zaledwie 26 km od irańskiego lądu – bliskość ta prawdopodobnie zaniepokoiłaby irańskie władze.

Chociaż szczegóły są skąpe, na wyspie Chark znajdują się również kluczowe irańskie instalacje wojskowe. Według CENTCOM, amerykańskie ataki w zeszłym tygodniu zniszczyły magazyny min morskich, bunkry do przechowywania rakiet i inne obiekty wojskowe na wyspie.

Według serwisu Axios operacja lądowa lub blokada wyspy Chark miałyby na celu wywarcie presji na Iran, aby podjął negocjacje w sprawie dostępu do Cieśniny Ormuz. Jednak takie posunięcie mogłoby również wywołać ostrzejszą reakcję irańskich przywódców, którzy uznaliby je za znaczącą eskalację konfliktu.

MATERIAŁ INFORMACYJNY ORANGE

0011498253

Dzieci dorastają w świecie ekranów – jak je wesprzeć?

Współczesne dzieciństwo znacznie różni się od tego, które pamiętają dorośli. Dzieci wkraczają w świat Internetu coraz szybciej, zdarza się, że zanim jeszcze nauczą się pisać, czytać, czy wiązać sznurowadła. Jednak samo klikanie to tylko techniczna obsługa narzędzia. Jak zatem sprawić, by najmłodsi potrafili bezpiecznie i świadomie korzystać z technologii i dlaczego ważne jest, by umieli współpracować i ćwiczyli krytyczne myślenie? Z pomocą przychodzi MegaMisja – bezpłatny program Fundacji Orange, który od 11 lat uczy najmłodszych, jak radzić sobie w świecie pełnym ekranów.

Program skierowany jest do przedszkoli i szkół podstawowych (klasy 1-3) i opiera się na gotowych scenariuszach zajęć, które nauczyciele realizują przez cały rok szkolny. Osią programu jest ciekawa historia bliźniaków i stworka – Psotnika, angażująca dzieci i pomagająca im lepiej zrozumieć cyfrową rzeczywistość. Szkoły i przedszkola biorące udział w MegaMisji otrzymują kompleksowe wsparcie: materiały dydaktyczne, pomoce edukacyjne oraz dostęp do szkoleń i webinarów dla nauczycieli.

– *MegaMisja to bardzo przydatny program. Wśród wielu innych projektów, w których brałam udział, to właśnie MegaMisja przynosi dzieciom najwięcej korzyści. To znakomicie skonstruowane zajęcia, zawsze wyczekiwane przez maluchy i świetnie przykuwające ich uwagę. Co ciekawe, w to przedsięwzięcie udaje się zaangażować też rodziców, co wpływa na jeszcze lepsze efekty programu. Dzieci zaczynają odkrywać, co znaczy współpraca z rówieśnikami, zauważają, że można świetnie bawić się, nie spoglądając w ekran telefonu* – mówi pani Magdalena Zając, nauczycielka przedszkolna realizująca program MegaMisja.

MegaMisja w przedszkolach

Głównym celem jest rozwijanie u dzieci kompetencji społecznych, takich jak współpraca, empatia, krytyczne myślenie – tych, które są fundamentem zdrowego i bezpiecznego funkcjonowania w świecie pełnym ekranów.

W zalewie informacji dziecko musi nauczyć się odróżniać prawdę od fakenewsów, a tu właśnie zdolność do krytycznego myślenia jest

doskonałym narzędziem, które MegaMisja daje dzieciom. Poza tym, dzieci biorąc udział w MegaMisji, mają wiele okazji do działania razem.

– *Zajęcia w ramach tego programu pokazują dzieciom, jak wartościowa jest współpraca w grupie, jak się integrować z innymi uczestnikami zabawy. Dzieci dostrzegają, jak wiele można osiągnąć, działając zespołowo i jaką wartość ma dialog w grupie* – dodaje pani Magdalena.

MegaMisja w szkołach

W klasach 1-3 wyzwania stają się bardziej złożone. MegaMisja uczy dzieci zasad bezpiecznego korzystania z Internetu, tłumaczy im, co to jest ochrona prywatności i jak wprowadzać ją w życie.

Program wprowadza także pojęcie higieny cyfrowej, pokazując, jak ważne jest zachowanie równowagi pomiędzy czasem spędzanym przed ekranem smartfonu czy komputera a aktywnością offline. Uczniowie pracują zespołowo, uczą się komunikacji i rozwijają umiejętność krytycznego myślenia, co pomaga im lepiej odnajdywać się w świecie natłoku informacji.

– *To bardzo pożyteczny program. Dzieci podczas zajęć poznają takie zagadnienia jak prawo autorskie czy prywatność. Uczą się oceny publikowanych tam informacji i rozpoznawania fakenewsów. MegaMisja daje możliwość rozwoju kompetencji cyfrowych w przydatny i praktyczny sposób. Dzieci realizują ciekawe projekty, co jest typową nauką przez zabawę. Zadania rozwijają w nich twórcze i krytyczne myślenie, a to umiejętności, które powinny być kształtowane u dzieci właśnie na etapie edukacji wczesnoszkolnej. Wszystkie aktywności zaplanowane w scenariuszach, które dostajemy, są ukierunkowane na pracę w grupie, na prowadzenie dyskusji i wspólne rozwiązywanie problemów. To daje dzieciom wiele satysfakcji, radości, ale przede wszystkim buduje w nich zaufanie do siebie, które jest bardzo potrzebne w świecie naszpikowanym technologiami i ekranami* – mówi Karolina Borkiewicz, specjalista edukacji wczesnoszkolnej, nauczycielka realizująca program w 3 klasie szkoły podstawowej.

MegaMisja wspiera także nauczycieli, dostarczając im gotowych narzędzi i inspiracji do realizowania nowoczesnych, angażujących zajęć. Wszystko to sprawia, że zajęcia są bardzo ciekawe i wciągające dla uczniów.

- *Moja klasa jest zachwycona programem MegaMIsja. Dzieci wyczekują kolejnych zajęć i codziennie potrafią rano zadawać pytanie: „Czy dziś będziemy mieć kolejne zajęcia z MegaMisją?". Realizacja zadań w ramach tego programu jest dla nich prawdziwą przygodą. Rozwój kompetencji miękkich u dzieci jest naprawdę zauważalny, ale to nie wszystko. Nauczyciele mają także możliwość rozwoju poprzez udział w szkoleniach i webinarach przygotowanych specjalnie dla nich* – nadmienia pani Karolina.

Dołącz do programu

Aby zgłosić szkołę lub przedszkole, należy **wypełnić formularz dostępny na stronie programu do 28 kwietnia 2026 r. do godziny 15.00.** Trzeba odpowiedzieć na kilka pytań dotyczących motywacji do wzięcia udziału w MegaMisji. Można to zrobić pisemnie lub w formie krótkiego nagrania wideo.

Spośród wszystkich zgłoszeń specjalna komisja wybierze 300 placówek (po 150 szkół i przedszkoli), które rozpoczną realizację programu we wrześniu 2026 roku. W tegorocznej edycji mogą wziąć udział również te placówki, które już uczestniczyły w MegaMisji w ubiegłych latach.

eprasa.pl aa87686048

Polska
Piątek–niedziela, 27–29.03.2026

JAROSŁAW FLIS: DZIŚ W POLITYCE DOMINUJE POCZUCIE PRZESYTU. ALE RZECZYWISTOŚĆ NIE JEST ZERO-JEDYNKOWA

– Z jednej strony mamy wysokie zadowolenie z życia, z drugiej niskie zadowolenie z pracy rządu. Paradoks. Dlatego dziś tak trudno przewidzieć dominujący trend. Jeśli oceniać po poziomie zadowolenia z życia, to rząd powinien się utrzymać po wyborach. Ale oceniając po jego notowaniach, to powinien upaść. W takiej jesteśmy dziś sytuacji – mówi prof. Jarosław Flis, socjolog z Uniwersytetu Jagiellońskiego

Agaton Koziński

Co według pana było ważniejszym tematem w tym tygodniu dla Polaków: spotkanie Karola Nawrockiego z Viktorem Orbánem czy szybko rosnące ceny paliwa?
Z perspektywy codziennego życia zdecydowanie ważniejsze są ceny paliwa. Trzeba jednak pamiętać, że Polacy nie są jednolitą grupą. Część społeczeństwa jest tak silnie nakręcona politycznie, że bywa skłonna ignorować nawet tak odczuwalne zjawiska jak inflacja – im wystarczy, że ich środowisko polityczne przekonuje, że problemu nie ma.

Przedstawił pan właśnie definicję wyborców przekonanych.
W pewnym sensie tak. To osoby mocno przywiązane do swoich poglądów. Choć też rzeczywistość nie jest zero-jedynkowa. Oczywiście są ludzie bardzo zdeterminowani, ale istnieje też szerokie spektrum postaw pośrednich – wielu wyborców jest w pewnym zakresie otwartych na zmianę zdania. Proszę pamiętać, że postawy polityczne zmieniają się w czasie, także wraz z wiekiem. Im częściej ktoś głosuje na daną partię, tym większe przywiązanie może do niej odczuwać. Ale z drugiej strony wchodzą nowe roczniki wyborców – mniej związane z dotychczasowym podziałem politycznym, bo mają mniej doświadczeń wyborczych. Widać to było świetnie przy okazji pierwszej tury ubiegłorocznych wyborów prezydenckich.

Kandydaci PO-PiS-u uzyskali w nich ponad 60 proc. głosów.
Ale też tamte wybory pokazały, że wyborcy młodsi zdecydowanie uciekali od tego duopoli. I to zjawisko będzie się utrwalać.

Tyle że młode roczniki są na tyle mało liczne, że tego duopolu nie przegłosują. Paradoksalnie mogą go jeszcze utrwalić tym swoim sprzeciwem.
Niekoniecznie, może się bowiem okazać, że w pewnym momencie to ogon zacznie machać psem – chociaż przecież pies jest dużo większy od ogona.

Na zasadzie: zorganizowana mniejszość zawsze pokona rozlazłą mniejszość?
Tak właśnie. Pewnie taka partia spoza tego duopolu nie zdoła wygrać wyborów. Ale ona może decydować – jako mniejszościowy koalicjant – o tym, która z dużych partii będzie rządzić. Proszę zobaczyć, kto obecnie jest marszałkiem Sejmu.

W wyborach Włodzimierz Czarzasty zdobył niewiele ponad 20 tys. głosów.
Ale okazał się wystarczająco sprytny, żeby do funkcji marszałka dojść. To najlepiej pokazuje, że nie zawsze trzeba być dużym, żeby w polityce osiągać cele. Na polskiej scenie politycznej jest miejsce dla pięciu partii. Zobaczymy, kto w tej piątce się znajdzie w wyborach w 2027 r.

Mamy już trzech pewniaków: KO, PiS i Konfederacja.
Niczego bym nie przesądzał – w tym sensie, że nawet Konfederacja jest wewnętrznie popękana i nie wiadomo, w jakiej formie dotrwa do wyborów. Już były momenty, że poparcie tego ugrupowania się załamywało, w ciągu trzech miesięcy traciła połowę poparcia w sondażach. Widać, że ciągle wszystko jest możliwe.

Nawet duopol?
Bez przesady. Ale niewykluczone, że wykrystalizuje nam się układ, w którym mamy dwie partie starszej połowy społeczeństwa, dwie partie młodszej połowy i piątą, która próbuje iść poprzek tych wszystkich podziałów. Może się tak zdarzyć.

Właśnie przekreślił Pan szanse Korony Grzegorza Brauna.
Nie przekreśliłem – po prostu postawiłem przy niej znak zapytania. Bo wcale niewykluczone, że on jeszcze w tej kadencji podzieli los Kukiza, Petru czy Hołowni – to znaczy, nie zdoła utrzymać wysokiego początkowo poparcia w kolejnych wyborach.

Teraz Pan mówi, że Braun to gwiazda jednego sezonu? Czy Pan mówi, że temat polexit, na którym on się najbardziej buduje, to temat tylko na chwilę?
Dopiero się przekonamy. Na pewno sporo głosów dostanie partia ogólnego wkurzenia – taka, na którą ludzie głosują, bo chcą wkurzyć establishment. Ale jaka to partia konkretnie będzie? Teraz tego nie widać.

Ominął Pan temat polexitu. On nie będzie ważył kampanijnie?
Proszę pamiętać, jak wyglądała kampania przed referendum w sprawie brexitu w Wielkiej Brytanii. Szybko w niej zapomniano, że chodzi o członkostwo tego kraju w UE – ono zamieniło się w starcie zadowolonych elit z wkurzonym ludem. Zagłosowano za brexitem przede wszystkim po to, żeby zagrać na nosie brytyjskiemu establishmentowi.

W Polsce ten schemat może się powtórzyć?
Nie do końca – w tym sensie, że obrońcy ludu już rządzili u nas naprawdę bardzo długo. Wybory prezydenckie w XXI w. właściwie za każdym razem rozgrywają się wokół tego podziału – i tylko raz obrońca ludu nie wyszedł z nich zwycięsko, mówię o 2010 r. i wygranej Bronisława Komorowskiego. W Polsce więc ten podział jest już wyświechtany.

Wyświechtany? To nie jest jedna z tych uniwersalnych osi podziałów, które w polityce występują zawsze?
Oczywiście. Ale ten podział działa tym silniej, im bardziej był wcześniej ignorowany. A jeśli wcześniej nie był ignorowany, tylko był nieuznająco ogrywany, no to on przestaje mieć takie znaczenie.

Gdy dziennikarz elitarnej telewizji krzyczy na prezydenta-obrońcę ludu, a jednocześnie cena paliwa na stacjach benzynowych idzie ostro w górę, to ten podział znowu nie odżywa?
Może w pokoleniu sześćdziesięciolatków. Wśród młodszych wyborców ten podział przebiega dziś już zupełnie inaczej, on nie jest już tak tożsamościowy. Konsekwencja choćby upowszechnienia szkolnictwa wyższego.

Z drugiej strony człowiek jest zwierzęciem stadnym – także młodsze pokolenia będą się organizować w większe grupy, siłą rzeczy też się podzielą na elitę i z tej elity wykluczonych. Ten podział będzie się radykalnie różnił od tego widocznego w starszych pokoleniach?
Dziś nie jest to zbyt widoczne. Ale zakładam, że będzie się pogłębiał podział na kosmopolitów i narodowców, zwolenników suwerenności. Wcześniej ważny był stosunek do Kościoła, ale w miarę postępującej laicyzacji on znika – i zastąpił do stosunek do własnego narodu.

Władysław Kosiniak-Kamysz właśnie przesłał do Sejmu własną wersję prezydenckiej ustawy o „SAFE 0 proc.". Jego PSL ma szansę stać się tą partią, która będzie szła w poprzek istniejących podziałów?
Na pewno solidna grupa wyborców uważa, że polaryzacja w Polsce jest po prostu idiotyczna i wcale nie mają ochoty się w nią wpisywać. PSL próbuje na tym się budować. Ale ma inny problem. W Sejmie jest zwykle pięć ugrupowań – ale o te miejsca walczy dziś osiem partii. Jeszcze nie wiemy, jak one się pogrupują. Przed wyborami zacznie się gra w gorące krzesła.

Jak bardzo gorące?
Analizując wyniki wyborów w Polsce, widać, że dwie największe partie nie rozpadają się, tylko powoli słabną. Ale ich kosztem nie rosną partie mające trzecią i czwartą pozycję – tylko partie będące jeszcze niżej w rankingu. Mówiąc obrazowo – głowa jest coraz mniejsza, ale w zamian nie rośnie brzuch, tylko ogon. Ale potem mamy wybory z 5-procentowym progiem wyborczym. I ten próg ten ogon ucina. W którym miejscu to nastąpi? Często to ciężko przewidzieć. Pamiętamy wybory z 2015 r., kiedy ucięło dwie partie lewicowe oraz formację Korwin-Mikkego – i dzięki temu PiS mógł samodzielnie rządzić.

Jest jeszcze przestrzeń na jakieś nowe ugrupowanie?
Trochę późno na to. Musiałby się pojawić jakiś nowy impuls, poczucie głodu nowości – a na razie mam wrażenie, że dominuje poczucie przesytu.

PiS próbuje wracać do swojej narracji „przerwanej dekady" – że za jego rządów Polska się rozwijała, ale Donald Tusk to przerwał. To może chwycić? Jaką kontrnarrację może przedstawić rząd?
Nie wiem, czy ten pomysł PiS-u się sprawdzi. Zdecydowana większość ich sukcesów to pierwsza kadencja, w drugiej już ich zabrakło. Nie sądzę, żeby Polacy zbyt dobrze wspominali wprowadzony w drugiej kadencji PiS „Polski Ład".

Ale teraz Kaczyński wylicza, ile dróg udało się zbudować za czasów rządów jego partii, co wtedy powstało. Czym Tusk może kontratakować?
Rozumiem, że czymś takim ma się okazać rozwój przemysłu zbrojeniowego i uruchomienie programu SAFE – bo przecież w jakiejś formie on wejdzie w życie.

SAFE będzie „CPK Tuska" – w tym sensie, że stanie się jego mitem politycznym?
PiS o CPK przede wszystkim opowiadał, poza te opowieści i harmonogramy nie udało mu się wyjść. Natomiast spodziewam się, że ten rząd jednak jakieś fabryki broni zbuduje – a przynajmniej zacznie to robić. W tym sensie może się okazać skuteczniejszy.

Ówczesna opozycja bardzo mocno krytykowała pomysł CPK – obecna opozycja pomysłu zbrojeń nie krytykuje. Czy paradoksalnie nie utrudni to budowy tego mitu?
Dlatego Tusk nie stawia tylko na tę opowieść. Rozumiem, że jej innym elementem jest odwoływanie się do polexitu – choć to jest jednak ryzykowne, bo budzi się demona, z którym później nie wiadomo co robić. Ten temat w Polsce może się wynaturzyć dokładnie w ten sam

eprasa.pl aa87686048

FOT. ADAM JANKOWSKI

Prof. Flis: Część społeczeństwa jest tak silnie nakręcona politycznie, że bywa skłonna ignorować nawet tak odczuwalne zjawiska jak inflacja. Wystarczy im, że ich środowisko polityczne przekonuje, że problemu nie ma

sposób jak w Wielkiej Brytanii.

Myśli Pan, że Tusk może połączyć najbliższe wybory z referendum w sprawie polexitu?
Przegrałby to referendum dokładnie w ten sam sposób jak PiS przegrał swoje referendum w sprawie migrantów w 2023 r. Takie referenda tylko się przegrywa. Przegrał je PiS, przegrał Bronisław Komorowski w 2015 r., teraz we Włoszech przegrała Giorgia Meloni.

A jest atmosfera na zmianę? Było ją czuć w 2015 r., ale też w 2023 r. W 2027 r. może być podobnie?
Wrażenie o konieczności zmiany zwykle dobudowuje się po wyborach – bo wbrew pozorom i w 2015 r. i w 2023 r. to nie było tak oczywiste, różnice były naprawdę niewielkie. Natomiast w 2027 r. będziemy mieć zupełnie nową sytuację?

Nową? Znowu wybór między Tuskiem i Kaczyńskim.
Przy okazji wyborów w 2011 i w 2019 r., kiedy rządzące partie uzyskiwały reelekcję, widać było korelację w wynikach badań społecznych – Polacy wysoko oceniali pracę rządu i wysoko swoją sytuację życiową. Byli zadowoleni z życia i w związku z tym byli zadowoleni z władzy. W 2015 i 2023 r. w obu tych kategoriach oceny były niskie – i wtedy dochodziło do zmiany obozu rządzącego. Natomiast teraz mamy sytuację paradoksalną. Z jednej strony mamy wysokie zadowolenie z życia, z drugiej niskie zadowolenie z pracy rządu.

Z czego bierze się ten paradoks?
Jest kilka czynników na to wpływających. Jednym z nich jest ocena premiera. Donald Tusk cieszy się niskim zaufaniem, co ciąży całemu jego rządowi. Poza tym jego styl rządzenia sprawia, że koalicjanci Koalicji Obywatelskiej nie mogą się czuć usatysfakcjonowani – a przecież w wyborach 2023 r. zdobyli oni łącznie 22 proc. głosów, część z nich czuje się teraz zniechęcona. Nie odpowiada im, że dziś wszystko kręci się wokół Tuska – że jest on panem młodym na każdym weselu i nieboszczykiem na każdym pogrzebie. Dlatego właśnie tak trudno przewidzieć dominujący trend. Jeśli oceniać po poziomie zadowolenia z życia, to rząd powinien się utrzymać po wyborach. Ale oceniając po jego notowaniach – to powinien upaść. W takiej jesteśmy dziś sytuacji.

PiS do przodu wysunął Przemysława Czarnka, co – przynajmniej chwilowo – skonsolidowało tę partię, uspokoiło wewnętrzne napięcia. Czarnek może być postrzegany jako alternatywa dla mało popularnego premiera?
Jedyny atut Czarnka polega na tym, że może on doprowadzić drugą stronę do całkowitego zgłupienia – tak jak to miało miejsce w przypadku Karola Nawrockiego. Czarnek ma wiele słabości, ale one mogą ujawnić kolejne słabości po drugiej stronie.

Mamy półtora roku do wyborów. Co w tym czasie będzie w pierwszej kolejności kształtowało nastroje?
Oczywiście, wojna na Bliskim Wschodzie.

Bo w jej wyniku gwałtownie drożeje benzyna?
Nie, to bardziej złożony problem, ceny benzyny to tylko jeden z elementów. Proszę zobaczyć, ile w jednym momencie występuje napięć. Wybory na Węgrzech, za chwilę wybory uzupełniające w USA. Nie wiadomo, co się stanie z Ukrainą.

Czyli o wyniku wyborów w Polsce w przyszłym roku przesądzi ocena polityki Trumpa?
Raczej bym powiedział: pole naszej polityki ustawi polityka Trumpa. Bo nigdy nie jest tak, że o wyniku wyborów przesądza jeden czynnik. Ale warunki, w jakiej będzie trwać ta rozgrywka, wyznacza styl działania Białego Domu. Ciągle nie wiemy, czym skończy się awantura wokół Iranu, choć scenariusze wydają się coraz bardziej czarne. Trump wyraźnie uwierzył, że po bardzo skutecznej operacji w Wenezueli i aresztowaniu Nicolása Maduro jest niepokonany. Ale teraz jego operacja w Iranie wyraźnie wymknęła mu się spod kontroli. Coraz bardziej przypomina stary dowcip o myśliwym.

Jaki? Nie znam.
Myśliwy zobaczył w lesie norę. Zajrzał do niej, ujrzał dwa światełka, strzelił między nie – i upolował zająca. Poszedł dalej. Widzi większą norę, w środku dwa ślepia – strzelił i upolował lisa. W trzeciej, jeszcze większej norze, znów zobaczył dwa błyski – strzelił i upolował niedźwiedzia. Zadowolony poszedł dalej. Zobaczył ogromną norę. Zajrzał do środka i znów zobaczył dwa błyski – i wtedy go pociąg przejechał. Dziś sekwencja działań Trumpa zdaje się przypominać ten schemat.

REKLAMA 0111461412

Czynne w każdą NIEDZIELĘ niektóre sklepy
CM ELEGANCJA
Al. Katowicka 51, Nadarzyn
tel. 22 739 55 00

eprasa.pl aa87686048

Błąd wymiaru sprawiedliwości. Jak maturzysta spod Szczecina stał się Józefem K.

Jak to możliwe, że doświadczony prokurator oskarża niewinną osobę, choć miesiącami jest zalewany dowodami, że pomylił osoby o tym samym imieniu i nazwisku? Ale to już koniec koszmaru studenta ze Szczecina. Po publikacji „Głosu Szczecińskiego" prokuratura potwierdza, że oskarżyła go bezpodstawnie. Śledztwo trwało trzy lata. Nam ustalenie prawdy zajęło dwa dni

Mariusz Parkitny

Dobra. Niewielka gmina sąsiadująca ze Szczecinem. W jednym z domów do matury uczy się Karol Ś. Marzy o studiach technicznych w Szczecinie. Ma plany na przyszłość.

Pukanie do drzwi. To policja. Jest zaskoczony, choć nie bardzo, bo przecież czasem policjanci pukają do drzwi, aby się czegoś dowiedzieć. Np. dzielnicowy.

Ale od Karola policjanci nie chcieli informacji. Odwrotnie. Z informacją do niego przyszli.

- Jest pan poszukiwany, bo prokurator chce panu postawić zarzuty – mówią.

- Ale to chyba pomyłka - mówi maturzysta.

Teraz jest już naprawdę zaskoczony.

- Pan Karol Ś. – dopytują policjanci.

- No tak, ale....- nieśmiało próbuje ripostować przyszły student.

Na nic się to zda.

- Proszę się stawić na wezwanie organu. Na razie to wszystko. Do widzenia – mówią mundurowi i wychodzą.

Jest 25 kwietnia 2025 r.

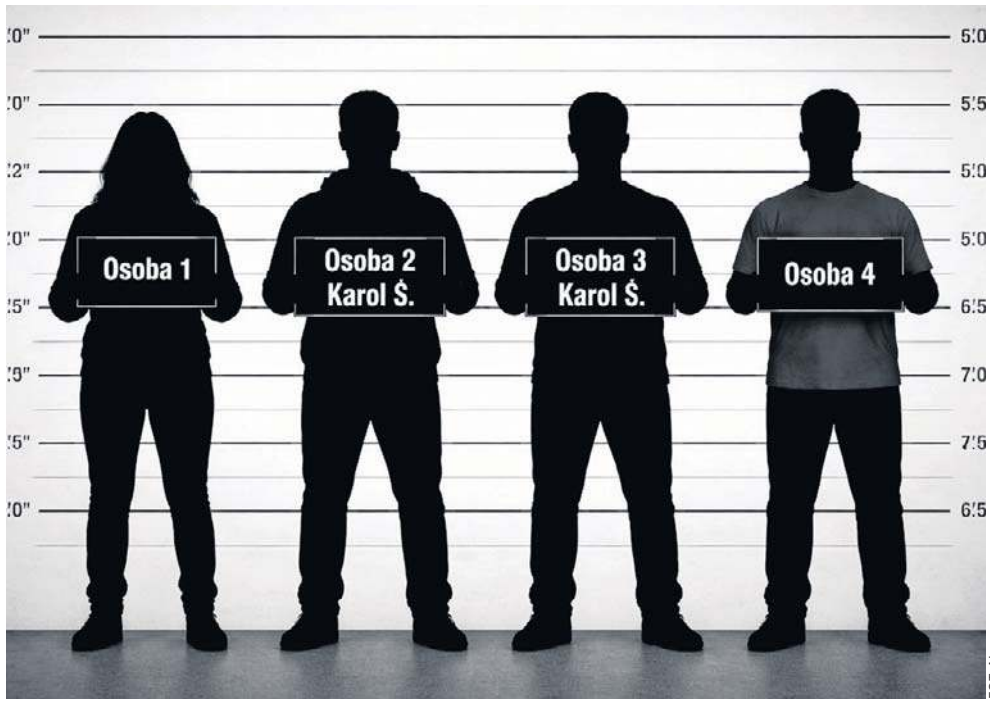

FOT. AI

Prokuratura zapowiada wewnętrzne postępowanie, które ma wyjaśnić, jak to możliwe, że prokurator oskarżył nie tego Karola Ś., mimo że informację o swojej pomyłce miał od dawna

Upór prokuratury

W znanej powieści „Proces" Franza Kafki jest taki fragment:

- Ktoś musiał oczernić Józefa K., bo choć nie zrobił nic złego, pewnego ranka został aresztowany.

Tyle że Karola Ś. nikt nie oczernił. Ba, podejrzany o zakup narkotyków wykluczył, że to on mu je sprzedał. Ale prokurator wiedział lepiej.

Tę sprawę obserwowaliśmy od dłuższego czasu. Wydaje się tak absurdalna, że zwlekaliśmy z publikacją, żeby wszystko dokładnie sprawdzić. Ale okazała się prawdziwa. Prokurator oskarżył Karola Ś. o handel narkotykami. Tyle że nie tego Karola Ś., co trzeba.

I w swoim uporze trwał miesiącami. Po naszej publikacji na początku tygodnia, prokuraturze nadrzędnej zajęło dwa dni ustalenie, że prokurator faktycznie się pomylił.

- Przedmiotowa sprawa została poddana badaniu na szczeblu Prokuratury Okręgowej w Szczecinie. W efekcie przeprowadzonego badania decyzję o skierowaniu aktu oskarżenia wobec podejrzanego Karola Ś. oceniono jako wadliwą. Akt oskarżenia został skierowany wobec niewłaściwej osoby, co było niezależną decyzją prokuratora referenta - potwierdza prok. Julia Szozda z Prokuratury Okręgowej w Szczecinie. Zapowiada też wewnętrzne postępowanie, które ma wyjaśnić, jak to możliwe, że prokurator oskarżył nie tego Karola Ś., mimo że informacje o swojej pomyłce miał od dawna.

ADWOKAT: MOŻE TRUDNO W TO UWIERZYĆ, ALE FAKTEM JEST, ŻE PROKURATOR OSKARŻA NIE TEGO KAROLA CO TRZEBA

- Stwierdzone nieprawidłowości będą przedmiotem odrębnego postępowania służbowego - dodaje prokurator Szozda.

Zagadką pozostaje to, jak to możliwe, że prokuraturze okręgowej udaje się potwierdzić nasze ustalenia w dwa dni, a przez wiele miesięcy nikt się nie zorientował, że śledczy popełnił kardynalny błąd i mimo pism wskazujących na pomyłkę, brnie w nią do końca.

- Może trudno w to uwierzyć, ale faktem jest, że prokurator oskarża nie tego Karola co trzeba - mówi nam mec. Patrycja Urban-Malada, szczecińska adwokatka.

Karol 2 i Karol 3

Musimy się cofnąć do 2023 r. Szczecińska prokuratura rejonowa prowadzi wtedy postępowanie w sprawie handlu narkotykami. 31 października 2023 r. jeden z podejrzanych - Adrian Ł. - wskazuje, że kupił je od niejakiego Karola Ś. na terenie dzielnicy Łękno, gdzie ten czasem pomieszkuje.

Prokurator zleca więc Wydziałowi Dochodzeniowo-Śledczemu Komendy Miejskiej Policji w Szczecinie podjęcie działań mających na celu ustalenie informacji o Karolu Ś. To tzw. typowanie.

Funkcjonariusze wywiązali się ze swojego zdania i wytypowali dwóch młodych mężczyzn o takim samym imieniu i nazwisku. Kolejnym etapem było rozpoznanie osoby, o której mówił Adrian Ł. Wejdźmy na chwilę w meandry policyjnej roboty, bo to jeden z kluczowych wątków w tej historii.

Sporządzono dwie tablice poglądowe oznaczone numerami 1 i 2. Nas interesuje tablica nr 2. Są na niej zdjęcia czterech mężczyzn. Na odwrocie tablicy opisano kto jest kim: nr 1 - osoba przybrana (czyli niemająca związku ze sprawą), nr 2 - Karol Ś., nr 3 - Karol Ś. i nr 4 - następna osoba przybrana.

14 listopada 2023 r. Adrian Ł. stoi przed tablicą poglądową, na której są zdjęcia dwóch mężczyzn o tym samym imieniu i nazwisku i ma wskazać osobę, od które kupił narkotyki.

Wskazuje Karola Ś. ze zdjęcia opisanego jako nr 2.

- Rozpoznał Karola Ś. na fotografii nr 2 ze 100-procentową pewnością jako sprzedawcę narkotyków. Podaje też o nim sporo dodatkowych informacji - mówi mec. Patrycja Urban-Malada.

Kim jest Karol Ś. ze zdjęcia nr 2? Adrian Ł. opowiadał, że Ś. przebywał w przeszłości w ośrodkach wychowawczych, jest od niego nieco starszy, wcześniej mieszkał nad morzem, a teraz pomieszkuje z ojcem w Szczecinie.

- Zatem podejrzany podał dość sporo danych identyfikujących Karola Ś., a przede wszystkim bez problemu i jakichkolwiek wątpliwości rozpoznał jego wizerunek - dodaje adwokatka.

Po rozpoznaniu postępowanie trwa nadal. Mijają miesiące. Wreszcie 12 lutego 2025 r. prokurator wydaje postanowienie o przedstawieniu zarzutów Karolowi Ś. I tu kolejny ważny element.

- W postanowieniu o przedstawieniu zarzutów nie ma wskazanego numeru PESEL ani żadnych danych identyfikujących bliżej Karola Ś. ze zdjęcia numer 2 - dodaje prawniczka.

Ale pięć dni później prokurator wydaje postanowienie o przeszukaniu mieszkania zajmowanego przez Karola Ś. w jednej z nadmorskich gmin, podając PESEL i dane mężczyzny ze zdjęcia nr 2 (czyli tego, na którym rozpoznał handlarza Adrian Ł.). Prokurator zleca też policji zatrzymanie i przymusowe doprowadzenie Karola Ś. Wszystko idzie więc jak powinno.

28 lutego 2025. policjanci nie zastają Karola Ś. w miejscu zameldowania nad morzem. Przesłuchują jego mamę. Dowiadują się, że syn od trzech lat pracuje w Niemczech. Przyjeżdża od czasu do czasu. Bez zapowiedzi.

eprasa.pl aa87686048

25 marca 2025 r. prokurator zawiesza śledztwo.

Czyje to dane?

Mijają dwa dni i prokurator przygotowuje dokumentację, na podstawie której mają się rozpocząć poszukiwania Karola Ś. ze zdjęcia nr 2.

I w tym momencie chyba trzeba szukać rozwiązania tej zagadki. Prokurator wpisał w dokumenty dane Karola Ś., ale tego ze zdjęcia nr 3, czyli niemającego nic wspólnego z handlem narkotykami!

- Prokurator nie wpisuje w dokumenty danych właściwego Karola Ś. zameldowanego nad morzem, a więc osoby wskazanej i rozpoznanej na tablicy poglądowej, tylko drugiego Karola Ś. oznaczonego numerem 3 na tej samej tablicy - mówi mec. Patrycja Urban-Malada.

Lista poleceń prokuratora jest długa: zarządzenie o poszukiwaniu podejrzanego, aby ustalić miejsce pobytu, zastrzeżenie na granicy Polski, na wypadek jej przekroczenia, sprawdzenie w Miejskim Ośrodku Pomocy Rodzinie, czy Karol Ś. pobiera świadczenia, w urzędzie wojewódzkim, czy ma paszport, w urzędzie pracy, w ZUS, w NFZ. Jedynie w zapytaniu do NFZ prokurator wpisał prawidłowe dane Karola Ś., czyli tego ze zdjęcia nr 2.

Kłopoty maturzysty Karola Ś.

Kim więc jest Karol Ś. ze zdjęcia nr 3? To właśnie nasz maturzysta z Dobrej. Po wizycie policjantów jest zdenerwowany, bo nigdy nie miał kłopotów z prawem, nie zna żadnego Adriana Ł. Nie wie nawet, gdzie w Szczecinie jest ulica gdzie mieszka drugi Karol Ś. I gdzie handlowano narkotykami.

Po wizycie policjantów poszukiwania zostały odwołane z uwagi na ustalenie miejsca jego pobytu.

- Po krótkim czasie mój klient otrzymał telefoniczną informację z policji, że to nie o niego chodzi i nie musi się nigdzie stawiać oraz że wszystko jest wyjaśnione. Ta informacja w naturalny sposób go uspokoiła - dodaje adwokatka.

Po trzech miesiącach od wizyty policjantów, prokurator odwiesił śledztwo. W połowie lipca 2025 r. nakazał zatrzymać i przymusowo doprowadzić podejrzanego Karola Ś.

- Ale poszukiwał ponownie mojego klienta, czyli Karola Ś. nierozpoznanego na tablicy poglądowej przez Adriana Ł. - dodaje adwokatka.

Karola Ś. ze zdjęcia nr 3 policjanci zatrzymali 21 listopada 2025 r. rano w domu. Był już w tym czasie studentem szczecińskiej uczelni wyższej. Został przewieziony do prokuratury, gdzie usłyszał zarzuty.

SĄD UZNAŁ, ŻE STOSOWANIE ŚRODKÓW ZAPOBIEGAWCZYCH PRZEZ PROKURATORA BYŁO NIEZASADNE, ALE ZATRZYMANIE TAK

- Prokurator odebrał od zatrzymanego szczegółowe dane osobowe. Pomimo braku zgodności jakichkolwiek danych z danymi faktycznego sprawcy (oprócz imienia i nazwiska) prokurator mimo wszystko ogłosił Karolowi Ś. zarzuty i przesłuchał go w charakterze podejrzanego. Podczas przesłuchania prokurator okazał podejrzanemu tablicę nr 2, gdzie przesłuchiwany rozpoznał siebie jako mężczyznę oznaczonego numerem 3! - dodaje adwokatka.

Karol Ś. nie przyznał się do winy. Mimo wyjaśnień, prokuratur nakłada na Karola Ś. z Dobrej środki zapobiegawcze w postaci dozoru policji (raz w tygodniu ma się stawiać na komisariat) oraz zakaz kontaktowania się i zbliżania do świadka.

Pod koniec listopada 2025 r. pierwszy obrońca Karola Ś. składa wniosek o umorzenie postępowania, że względu na to, że sprawa nie dotyczy tego mężczyzny. Ale w tym czasie prokurator zakończył śledztwo i wysłał akt oskarżenia do sądu przeciwko Karolowi Ś. ze zdjęcia nr 3.

Prokurator przeprasza

W ubiegłym tygodniu na sali sądowej doszło do niecodziennej sytuacji. Sąd rozpatrywał zażalenia obrońcy Karola Ś. na zatrzymanie i środki zapobiegawcze. Gdy obrońca Karola Ś. tłumaczyła, że jej klient nie mógł przyjść, bo fałszywe oskarżenie odbiło się mocno na jego zdrowiu, prokurator wygłosił zaskakujące oświadczenie.

- Przepraszam - powiedział, choć nie wyjaśnił za co przeprasza, bo jednocześnie domagał się odrzucenia zażalenia obrońcy na zatrzymanie i środki zapobiegawcze.

- Były podstawy do ich wydania - mówił prokurator.

- Przecież to nie mój klient jest osobą, którą powinien pan oskarżać - replikowała mec. Patrycja Urban-Malada.

Sąd uznał, że stosowanie środków zapobiegawczych przez prokuratora było niezasadne, ale już zatrzymanie tak. Zdaniem obrony takie rozstrzygnięcie oznacza, sąd „nie zapoznał się z aktami sprawy".

- Sąd zalegalizował zatrzymanie mojego klienta, choć nie jest on w sprawę udzielania środków odurzających w żaden sposób uwikłany. Lektura uzasadnień obu postanowień sądu dowodzi wprost, że sąd nie zapoznał się z aktami sprawy i również potraktował mojego mandanta jako właściwego podejrzanego, choć zażalenia obrońcy wprost wskazywały na co innego. Sąd uznając zasadność i legalność zatrzymania zamknął mojemu klientowi drogę do dochodzenia odszkodowania za niesłuszne zatrzymanie - ocenia mec. Patrycja Urban-Malada.

Dlatego w piątek w Prokuraturze Okręgowej w Szczecinie złożyła zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa niedopełnienia obowiązków i nadużycia uprawnień przez prokuratura i sędziego rozpatrującego zażalenia. Poprosiła też o wsparcie Rzecznika Praw Obywatelskich.

- Mając świadomość wagi czynów, których dopuścili się funkcjonariusze publiczni, a także mając uzasadnione wątpliwości, iż sprawy te zostaną rozpoznane w sposób szczególnie wnikliwy – zasadne jest objęcie postępowań szczególnym nadzorem przez Rzecznika Praw Obywatelskich i zgłoszenie udziału zarówno w postępowaniu przygotowawczym jak i toczonym przed sądem - uważa adwokatka.

2 kwietnia sąd ma zdecydować, czy umorzy sprawę. Wobec wtorkowego oświadczenia prokuratury o pomyłce, jest to raczej przesądzone. Chyba że prokurator wycofa akt oskarżenia wcześniej.

A co z Karolem Ś., fałszywie oskarżonym?

- Prokurator nie znalazł refleksji w wielu pismach procesowych kierowanych przez obrońców. Nie jest wykluczone, że młody człowiek nie poradzi sobie na trudnych, technicznych studiach, bowiem zamiast spokojnie się uczyć i cieszyć życiem – od wielu miesięcy musi się stawiać na dozór, informować o wyjazdach, przestrzegać zakazu zbliżania się do osoby, której nie zna i nigdy nie widział, boi się ewentualnych kolejnych najść funkcjonariuszy policji. Nie wspomnę już o całkowitej utracie wiary w sprawiedliwość i bezpieczeństwo, które powinno dawać państwo swoim obywatelom. Kolejne działania prokuratury i sądu pozwalają wątpić, że mój mandant odzyska swoje dobre imię – ocenia mec. Patrycja Urban - Malada.

MATERIAŁ INFORMACYJNY BIK

0011498050

Twoje dane są cenne. W finansach bezpieczeństwo danych jest równie ważne jak przejrzystość

Kwota kredytu hipotecznego, zobowiązania na samochód, pożyczka gotówkowa, historia spłaty. To informacje niezwykle wrażliwe – nie tylko finansowo, ale i społecznie. Trudno sobie wyobrazić, by ktokolwiek chciał pozwolić na to, aby takie dane trafiły do osób trzecich: sąsiadów, znajomych, a tym bardziej przypadkowych podmiotów komercyjnych.

W debacie o rynku finansowym bardzo często mówimy o przejrzystości. To ważne słowo, bo bez przejrzystości nie ma zaufania. Ale równie ważnym – a czasem nawet ważniejszym – fundamentem systemu finansowego jest bezpieczeństwo. Bezpieczeństwo środków, bezpieczeństwo instytucji i bezpieczeństwo danych.

Dane finansowe to nie są zwykłe informacje statystyczne. To wrażliwe zapisy ludzkich decyzji, problemów i momentów słabości. Informacje o kredytach czy pożyczkach należą do najbardziej prywatnych danych, jakie można przetwarzać. Ich niewłaściwe wykorzystanie, utrata kontroli nad nimi albo dostęp osób trzecich mogą mieć konsekwencje, które wykraczają daleko poza sektor finansowy.

Czy chcielibyśmy, aby ktoś postronny znał szczegóły naszych finansów? I kto bierze za te dane realną odpowiedzialność?

To pytania warto zadawać za każdym razem, gdy rozważamy zmiany systemowe.

Bezpieczny, stabilny i licencjonowany akcjonariat to realna ochrona danych kredytowych

Dyskusja o bezpieczeństwie informacji kredytowej nie może abstrahować od tego, kto faktycznie odpowiada za dane. Struktura właścicielska podmiotów zarządzających wrażliwymi danymi finansowymi nie jest technicznym detalem – jest fundamentem odpowiedzialności.

Biuro Informacji Kredytowej jest kontrolowane przez banki, w tym państwowe podmioty, w jednym z najbardziej regulowanych i nadzorowanych sektorów gospodarki. Ochrona danych finansowych klientów to nie marketingowe hasło, lecz obowiązek prawny, regulacyjny i reputacyjny.

Ten model nie powstał przypadkiem. Został zbudowany po to, aby wrażliwe dane milionów Polaków były objęte tajemnicą bankową, a także zarządzane przez instytucje stabilne, przewidywalne oraz odporne na łatwe zmiany właścicielskie, czy także na krótkoterminowe decyzje biznesowe. W czasach rosnących zagrożeń cybernetycznych, wojny w Ukrainie i nasilających się działań hybrydowych ze strony Rosji, dane finansowe stały się elementem infrastruktury krytycznej państwa.

Silny podmiot o stabilnym akcjonariacie popartym zaufaniem publicznym ma realną zdolność do odpierania ataków i reagowania na incydenty. To nie jest abstrakcyjna teza – to kwestia bezpieczeństwa systemowego.

Czy chcemy, aby wrażliwe dane milionów Polaków trafiały do baz zarządzanych przez spółki będące w rękach prywatnych osób i mogących szybko zmienić właściciela?

Dziś informacje o opóźnieniach w spłacie kredytów konsumenckich trafiają do centralnej, bezpiecznej bazy BIK, a – zależnie od decyzji wierzyciela – także do biur informacji gospodarczej. Rozważane są rozwiązania, by wprowadzić obowiązek raportowania takich danych do wszystkich BIG-ów.

Część z biur informacji gospodarczej ma strukturę właścicielską skoncentrowaną wokół osoby prywatnej, która może w łatwy sposób podjąć decyzję o sprzedaży akcji spółki przypadkowym inwestorom – szybko, bez analizy intencji inwestora i bez systemowych gwarancji bezpieczeństwa i stabilności. W niepewnych czasach to ryzyko, którego nie wolno bagatelizować.

Zaufanie do systemu finansowego buduje się latami, a traci w jednej chwili. Centralny model wymiany informacji kredytowej funkcjonuje w Polsce od lat i dobrze spełnia swoją rolę: chroni konsumentów, wspiera odpowiedzialne kredytowanie i minimalizuje ryzyko systemowe.

W świecie rosnących zagrożeń cyfrowych nie potrzebujemy więcej drzwi do świata wrażliwych danych. Potrzebujemy solidnych zamków i odpowiedzialnych gospodarzy. Bo ostatecznie chodzi o coś bardzo prostego: aby nasze dane – tak jak nasze pieniądze – pozostawały bezpieczne.

eprasa.pl aa87686048

FOT. BARTOSZ KSIĘŻAK

Mówiąc w Łodzi o Apaczach, premier Donald Tusk nie zapomniał o śmigłowcach Caracal, które miały być w Łodzi montowane, ale PiS doprowadziło do anulowania kontraktu

ŻEGNACJCIE CARACALE, WITAJCIE APACZE

Wojskowe Zakłady Lotnicze nr 1 w Łodzi znalazły się w centrum uwagi. To tutaj będzie serwisowana polska flota 96 śmigłowców szturmowych AH-64 Apache. Triumfalnym tonom towarzyszy jednak smutna refleksja, gdzie WZL nr 1 i polska armia byłyby dzisiaj, gdyby 10 lat temu rząd PiS nie dobił kontraktu na montaż śmigłowców Caracal

Sławomir Sowa

Takiej oprawy nie miała chyba jeszcze żadna inwestycja w Łodzi. W poniedziałek, 23 marca, w wielkim hangarze Wojskowych Zakładów Lotniczych nr 1 w Łodzi pojawili się premier Donald Tusk, ambasador USA Thomas Rose, liczni parlamentarzyści i ministrowie. I ta scenografia. Trudno wyobrazić sobie lepszą niż dwa potężne,budzące respekt śmigłowce szturmowe AH-64 Apache, które przyleciały specjalnie z jednostki w Inowrocławiu. Na tych maszynach, wypożyczonych od Amerykanów, szkolą się obecnie polskie załogi w oczekiwaniu na dostawę z USA zamówionych 96 Apaczy, z których pierwsze przylecą do Polski w 2028 roku.

To właśnie serwis i obsługa tego typu śmigłowców, ale w najnowszej wersji, były przedmiotem podpisanych w poniedziałek umów z firmą Lockheed Martin. To z kolei pokłosie kontraktu z 13 sierpnia 2024 roku, na mocy którego Polska zakupiła od USA 96 śmigłowców Apache Guardian za około10,8 miliarda dolarów.

Latanie to jedno, ale utrzymanie i serwis tych niezwykle zaawansowanych maszyn to drugie, nie mniej ważne zadanie. W wielkim hangarze podpisano pierwszą z trzech umów offsetowych, na mocy których WZL nr 1 będą serwisować 96 zakupionych śmigłowców szturmowych AH-64 Apache.

Umowa z Lockheed Martin da łódzkim zakładom kompetencje do obsługi , napraw i eksploatacji systemów naprowadzania uzbrojenia i nawigacyjnych oraz serwisowania radarów kierowania ogniem Longbow.

– Będziemy mieli także dostęp do szkolenia w najbardziej zaawansowanych systemach, które są sercem tego śmigłowca – podkreślał prezes Jacek Goszczyński, który podpisywał umowę w imieniu WZL nr 1.

To szczegóły techniczne. Tak naprawdę ta umowa będzie krokiem w świat zupełnie nowych technologii, diametralnie różnych od tych, na których bazowały stare poradzieckie śmigłowce. Po latach serwisowania i modernizowania starych poradzieckich śmigłowców łódzka firma wkracza w nową epokę.

Na tym jednak nie koniec. Na podpisanie czekają jeszcze dwie umowy dotyczące serwisowania płatowców i silników Apaczy.

– W związku z zakupem 96 śmigłowców Apache zostały nam jeszcze do podpisania umowy wykonawcze z Boeingiem i General Electric. Będą prawdopodobnie podpisane podczas Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego w Kielcach na początku września – deklaruje wiceminister obrony Cezary Tomczyk.

I dodaje z nieskrywanym entuzjazmem: Łódź staje się centrum serwisowym Apacza. Jak przyjechałem tutaj pierwszy raz, to było chyba na początku 2024 roku, ten zakład był totalnie bez przyszłości. Z poradziecką techniką, która właśnie kończyła swoje resursy, z pustymi halami i z brakiem perspektyw.

Warto jednak zaznaczyć, że WZL nr 1 w Łodzi to nie tylko Łódź, ale i oddział w Dęblinie. To właśnie tam lokowana jest duża część offsetu, nie tylko zresztą związana z zakupem Apaczy, ale i systemów przeciwlotniczych Patriot. Tam jest między innymi centrum kompozytowe, które zajmuje się produkcją kadłubów do bezzałogowców Wizjer i kontenerów startowych do Patriotów oraz centrum silnikowe, które będzie serwisować silniki do Apaczy.

Przełamana klątwa Caracali

Te wspaniałe perspektywy nie powinny jednak przesłaniać straconego czasu i potencjału. W przemówieniach notabli powracał wątek śmigłowców wielozadaniowych Caracal konstrukcji koncernu Airbus Helicopters.

O zaprzepaszczonej szansie na produkcję Caracali w Łodzi mówił premier Donad Tusk, a minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz powiedział wprost, że niektórzy popełnili straszne błędy.

W 2015 r. podpisano umowę o zakupie 50 Caracali, dla których w WZL nr 1 w Łodzi miała powstać linia montażu końcowego. PiS, które od początku był wrogie temu kontraktowi, po wygraniu wyborów w 2015 roku w ciągu roku doprowadziło do zerwania kontraktu, powołując się na niezadowalającą ofertę offsetową. Towarzyszył temu zmasowany atak, by nie oddawać WZL nr 1 spółce z obcym kapitałem, która chce nam sprzedać „przestarzałe" śmigłowce, tylko zlecić produkcję śmigłowców polskim fabrykom, takim jak te w Świdniku i Mielcu.

To był podwójny paradoks. Z jednej strony zakłady w Świdniku należały do włoskiego Agusta Westland (dziś Leonardo), a w Mielcu do amerykańskiego Lockheed Martina. Oczywiście w obydwu było polskie kierownictwo i załogi. Natomiast WZL nr 1 były i są jak najbardziej polskim zakładem w rękach państwa. Drugi paradoks: te „przestarzałe" Caracale 10 lat po zerwaniu kontraktu są nadal zamawiane, i to nie przez jakieś ubogie państwa afrykańskie, ale takie potęgi, jak Japonia czy Holandia.

Na otarcie łez

Nad łódzkim zakładem zawisły wtedy czarne chmury. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że poradziecka flota śmigłowców powoli odchodzi do historii. WZL nr 1, które przez lata remontowały i modernizowały transportowe Mi-8 i Mi-17, szturmowe Mi-24 i morskie Mi-14, pewnego pięknego dnia zostaną z kompetencjami do obsługi śmigłowców, których już nie ma.

Antoni Macierewicz, który trząsł wtedy nie tylko resortem obrony, też pewnie zdawał sobie z tego sprawę. I stąd chyba zaskakujące decyzje, które wtedy zapadły.

Zakupiono wówczas cztery śmigłowce morskie Leonardo AW101 Merlin i na początku 2020 roku z wielką pompą podpisano w Łodzi umowy offsetowe, które ustanawiały WZL nr 1 centrum serwisowym dla zakupionych maszyn (drugim beneficjentem offsetu było Centrum Morskich Technologii Militarnych Politechniki Gdańskiej).

Wolno się domyślać, że chodziło o zwykłe mydlenie oczu przez Macierewicza. Po pierwsze, chodziło tylko o 4 śmigłowce, a po drugie, WZL nr 1 miały co prawda kompetencje w zakresie obsługi śmigłowców morskich, ale starego, poradzieckiego typu. Dużo bardziej racjonalnym wyjściem byłoby zlecenie obsługi AW101 zakładom Leonardo w Świdniku, bo jest to śmigłowiec tego właśnie koncernu.

Drugim zadziwiającym ruchem było postawienie WZL nr 1 w Łodzi na czele konsorcjum budującego eksperymentalną Trójstopniową Rakietę Suborbitalną. Początkowo wydawało się, że to otwiera zupełnie nową sferę działalności dla WZL nr 1, ale do czasu. Projekt zaliczył dwuletnie opóźnienie, a Jacek Goszczyński, nowy prezes WZL nr 1, który objął to to stanowisko w połowie 2024 roku (już po utracie władzy przez PiS), bardzo szybko zdystansował się od tych mrzonek i Trójstopniowa Rakieta Suborbitalna de facto wróciła do posiadających rzeczywiste kompetencje pozostałych członków konsorcjum: Wojskowego Instytutu Technicznego Uzbrojenia i Zakładu Produkcji Specjalnej Gamrat.

A Łódź wraca do tego, na czym zna się najlepiej – do śmigłowców.

Apacze to nie Caracale

Jeśli dziś mówimy o tym, że Apacze są swego rodzaju historyczną rekompensatą za anulowany kontrakt na Caracale, to trzeba też widzieć różnice. Apacze to maszyny szturmowe, zupełnie inna klasa śmigłowców niż wielozadaniowe Caracale. Druga ważna różnica to fakt, że w Łodzi nie będzie produkcji ani montażu, tylko serwis i obsługa, choć słowo „tylko" nie oddaje wagi zawartych umów dla ciężko doświadczonych do tej pory przez polityków Wojskowych Zakładów Lotniczych nr 1 w Łodzi. „Tylko" oznacza również, że serwis Apaczy będzie można realizować w Polsce, a nie w Stanach Zjednoczonych, co przekłada się zarówno na niższe koszty utrzymania floty Apaczy, jak i stopień ich gotowości.

Łatwo jednak nie będzie. Obsługa Apaczy to przeskok do zupełnie innego, cyfrowego świata, którego trzeba się nauczyć. Ale zanim Amerykanie przeszkolą pracowników, oni sami muszą biegle opanować język angielski, i to nie potoczny, ale techniczny. Bez tego ani rusz.

Jednocześnie trwają wysiłki, aby stworzyć szkołę lub chociaż klasę, których absolwenci zostaliby wysokiej klasy technikami-mechanikami. To są problemy, które trzeba rozwiązać, gdy umilkły już fanfary.

eprasa.pl aa87686048

PULS

#209

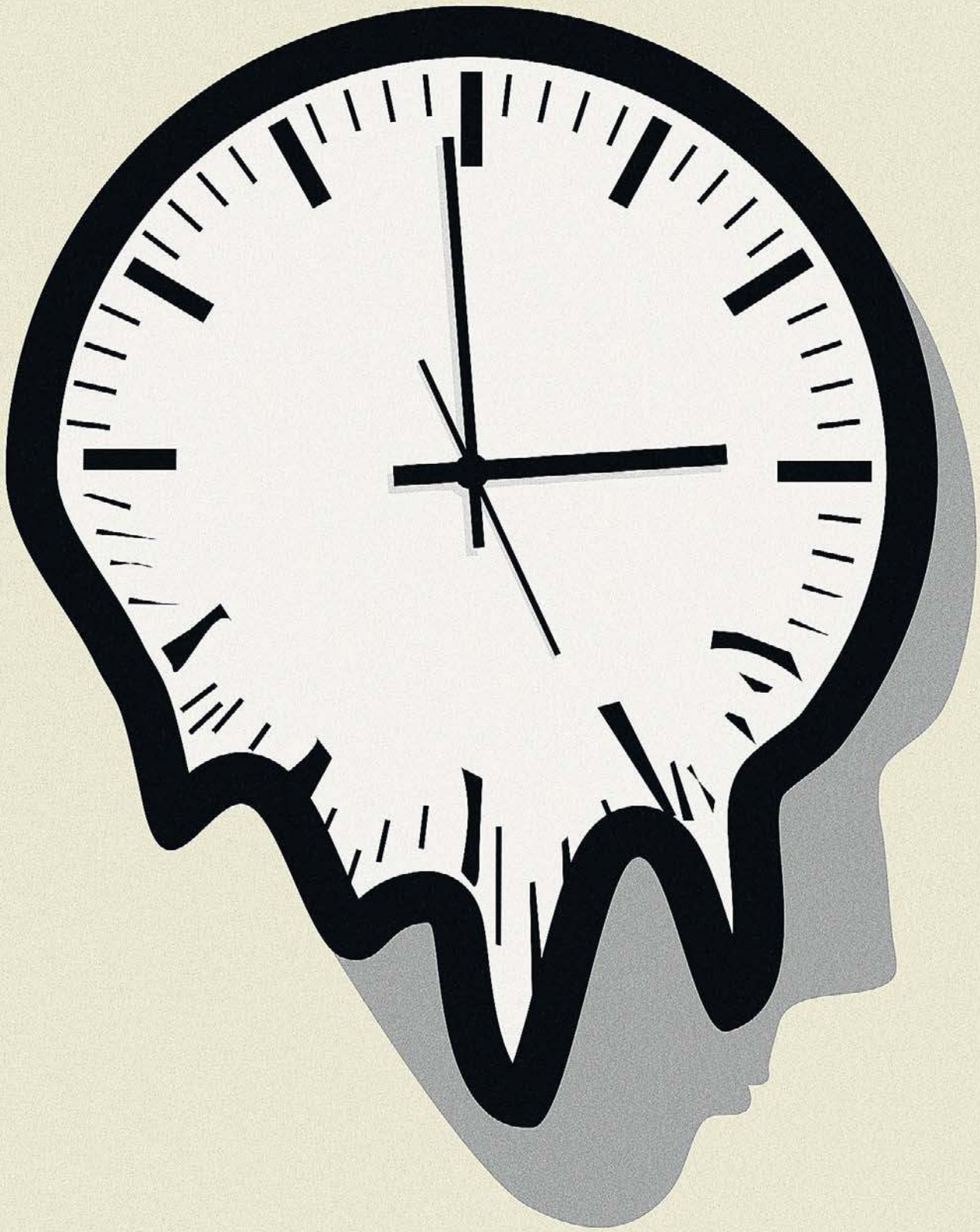

Człowiek z czasem się liczy

Str. 14–15

BT

eprasa.pl aa87686048

Polska
Piątek–niedziela, 27–29.03.2026

Alicja Polewska

TRZEPACZKA

Szukam. Takiej prawdziwej. Z wikliny. Jak ta, którą pamiętam z kamienicznego mieszkania, w którym żyliśmy razem z Babcią i Ciocią.

To było zadanie Ojca. Zwijał dywany i szedł na podwórko. Przerzucał je przez stary trzepak pod gruszą. Stawałam na balkonie i zachwycona patrzyłam, jak złotawy kurz z trzepanych dywanów wiruje w słońcu.

Pa, pac, pac… niosło się między kamienicami.

Przed Niedzielą Palmową trzepanie szło właściwie na okrągło. Co chwilę któryś z sąsiadów wyłaniał się z piwnicznych drzwi i zaczynał walić. W tym czasie „na pokoje" wjeżdżała pasta do podłóg. Do dzisiaj pamiętam jej zapach i zabawę na szmacie – z reguły to był jakiś stary sweter (najlepiej sprawdzał się taki z czystej wełny). Najpierw Mama albo Ciocia pieczołowicie rozprowadzały pastę, potem uruchamiały froterkę, a kiedy podłoga zaczynała lśnić – ja wkraczałam.

Ależ to była frajda!

Ten trzepak był wyjątkowy. Dwa drewniane słupy i żelazny drąg między nimi. Pewnie już go nie ma. Drewno przegniło, a drąg wylądował na skupie złomu. Nie dało się na niego łatwo wejść, jak na te „nowoczesne" przy blokach – te miały niżej poprzeczkę, na której można było robić fikołki; cały z metalu i umocowany na sztywno w betonie. Ten na moim podwórku trochę się ruszał, szczególnie po intensywnym trzepaniu wielu dywanów, więc ojcowie schodzili się któregoś dnia i coś majstrowali przy słupach, żeby jednak żelazny drąg nam na głowy nie spadł. Widzieli przecież, że właziliśmy po ogrodzeniu na gruszę i stamtąd na trzepak; wisiało się na nim na czas – kto spadł pierwszy, ten przegrywał.

– Coś ten odkurzacz słabo ciągnie – powiedziałam któregoś dnia. – Przydałoby się trzepanie.

Mąż spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem. – Nie wiem, czy zauważyłaś, ale nie mamy trzepaka. Nikt w okolicy nie ma. Po to są odkurzacze, odkąd je wymyślili. Zresztą nie mamy też trzepaczki, przecież szukałaś na jarmarkach i nic.

– Ale pamiętasz te wiosenne porządki i łoskot trzepania na podwórkach?

– Daj spokój.

Trzymamy się rytuałów, cyklu w roku. Świąt. Mycia okien, zielonych gałązek brzozowych i wierzbowych kotków w wazonie.

Panujemy nad czasem.

Jeszcze jeden raz.

Pac, pac, pac… nie słychać.

Adam Buła

IGRZYSKA PAROLIMPIJSKIE W NIEMOŻLIWYCH FIKOŁKACH

Zaliczam się do tej większości populacji, która za cholerę nie zrobi już szpagatu ani salta w tył. Na naszych oczach Kancelaria Prezydenta RP odkrywa, że podobnie ma też spora część miłośników boksera na salonach.

Problem jest zresztą szerszy i dotyka całej narracji partii Prawo i Sprawiedliwość, w którą Karol Nawrocki się wpisuje lub którą stara się nadpisać. Przyjęcie bowiem ostrego kursu przez namaszczonego na delfina Przemysława Czarnka oznacza stosunkowo mały kłopot dla rządzącej koalicji, za to frontalny atak na własną historię i rząd. Czyli wprost – na dokonania Mateusza Morawieckiego.

I to się właśnie dzieje: z taktycznych powodów PiS atakuje akurat te dziedziny, do których zachowało się najwięcej dowodów, że to PiS jest za nie odpowiedzialny. Oczywiście – propaganda w ogóle, a naszej prawej strony zwłaszcza zakłada, że jej adresat ma tylko połowę mózgu. Ale nawet tyle można przeciążyć, jeśli właściciel spróbuje nadążyć za fikołkiem w stylu Czarnkowe OZE-sroze na własnym dachu, który nie jest jego.

Wspomniane powody taktyczne to fakt, że PiS nie walczy dziś z Tuskiem. Nadal obrzuca go oczywiście błotem w każdym zdaniu, ale adresatem tych tekstów są utraceni wyborcy, którzy odeszli w stronę Konfederacji, a najwięcej – w najgorsze z punktu widzenia partii Kaczyńskiego miejsce – do Korony Polskiej Grzegorza Brauna. Gdy uświadomimy sobie, że rządzący 8 lat PiS zupełnie nieźle – poza samą końcówką – funkcjonował w Unii Europejskiej, a dziś stara się być bardziej antyeuropejski niż totalnie antysystemowy Braun, to zrozumiemy źródło tego sezonu na dziwaczne fikołki.

System ETS, umowa Mercosur, węgiel vs OZE, wielkie kredyty na wiele lat w obcej walucie – to główne tematy podnoszone dziś przez PiS, do których jest najwięcej nagrań, na których PiS jest w nie umoczony lub wprost odpowiedzialny. To po prostu musi przeciążyć system. W tym sensie, że nawet właściciele nie do końca sprawnie funkcjonujących mózgów zaczną odczuwać pewien poznawczy (sorry za to słowo) dysonans. Co w rezultacie sprawi, że przy PiS – jeśli partia będzie dawała więcej tego samego w nadziei na inny efekt – pozostaną już tylko wyznawcy. W wypadku których mniej jest istotne, ile posiadają mózgu w mózgu, bo i tak z definicji w wyborze swoich partyjnych sympatii go nie używają.

To nas prowadzi do znacznie nawet ciekawszego szpagatu, w którym nieuchronnie pogrąża się ekipa prezydencka. Karol Nawrocki prowadzi bowiem 3 równoległe agendy, które – w przeciwieństwie do geometrii… a nie czekajcie, skorzystamy z okazji i zgubimy w tym miejscu statystycznego wyborcę PiS, żeby mu już więcej nie mieszać w już przeciążanych zwojach.

Jak więc pamiętamy, proste równoległe to proste leżące na tej samej płaszczyźnie, które nigdy się nie przecinają i zachowują stałą odległość od siebie na całej długości. Oczywiście nie muszę tłumaczyć, że prosta to nieskończona, jednowymiarowa figura geometryczna, która nie ma początku ani końca i biegnie w obu kierunkach jednostajnie.

OK, koniec żartów. Problem prezydencki polega na tym, że równocześnie i równolegle:

– agresywnie atakuje rządzącą koalicję, starając się minimalizować jej szanse na wygraną w przyszłorocznych wyborach. Tutaj jest wiarygodny – w przeciwieństwie do PiS – dla całej prawej strony sceny politycznej;

– wzmacnia przy tym, udanie wykreowany jeszcze w kampanii, wizerunek „mocnego" zawodnika. Nawet jeśli ostatnie, głośne obsztorcowanie dziennikarza TVN było „spontanem", to równie dobrze mogło być na zimno zaplanowane. „Maczo Nawrocki super ustawił do pionu dziennikarzynę, he, he". No po prostu samiec alfa czy sigma, jak nazywają go zwolennicy, pokazał się ze swej „najmocniejszej" strony…

Punkt 1 i 2 wspierają agendę trzecią i nadrzędną: Karol Nawrocki chce być szefem polskiego MAGA, patronem całej prawej strony sceny politycznej, Trumpem, na jakiego nas stać. Temu też służą nieustające próby poszerzania prezydenckich uprawnień – im bardzie na rympał, tym lepiej.

I tu dochodzimy do istoty prezydenckiego szpagatu. Zupełnie nie jest istotne, czy prezydent RP przyjmuje wprost polecenia z ambasady USA, czy sam z siebie działa tak, że… tak to wygląda. Po prostu interesy USA nie są 1:1 zgodne z polską racją stanu. Więc nie można pozować na mocnego zawodnika, samca alfa, jak coraz częściej wchodzi się w sytuacje, w których wygląda się jak wasal na posyłki.

No nie da się.

Ta wizyta [prezydenta na Węgrzech] zaszkodziła polskiej polityce zagranicznej, bo nie jest polityką Polski ingerowanie w procesy wyborcze w innych krajach. Tym bardziej na rzecz kandydatów, którzy pomagają Putinowi, więc moje wielkie rozczarowanie, że pan prezydent zachowuje się zgodnie z logiką ideologiczną i partyjną, a nie państwową

RADOSŁAW SIKORSKI, SZEF MSZ

eprasa.pl aa87686048

FOTO*komentarz tygodnia*

FOT. PAP/ANDRZEJ JACKOWSKI

25 MARCA, POLSKA

Gdy wszystko wokół nas zmienia się w prędkością wiatru, takie zdarzenia cieszą jeszcze bardziej. Bociany wróciły. W tym roku wyjątkowo wcześnie. Pierwsze ptaki widziano w Polsce już pod koniec lutego, pod koniec marca jest ich już bardzo dużo. Niewiele w roku jest bardziej pozytywnych momentów. Po pierwsze, bociany każdy lubi - bo kojarzą się z nadchodzącą wiosną, z tym, że zaraz wszystko zacznie kwitnąć. Po drugie, bo wpisują się w naturalny cykl roku. W epoce strategicznej niepewności, gdy nikt nie umie przewidzieć, co stanie się jutro, takie stałe punkty odniesienia w naszej rzeczywistości są na wagę złota

FOT. PAP/EPA/DANIEL IRUNGU

23 MARCA, KENIA. **Pozamykane stacje benzynowe, kolejki do tankowania stały się rzeczywistością kolejnych krajów Afryki i Azji. Coraz więcej spekulacji, że w kwietniu podobne sytuacje będą mieć miejsce w Europie. Potwierdzenie tego, że konflikt w wąskiej Cieśninie Ormuz nabrał globalnego wymiaru**

FOT. PAP/EPA

23 MARCA, WĘGRY. **Karol Nawrocki spotkał z Viktorem Orbánem na krótko przed wyborami parlamentarnymi na Węgrzech. Jedna wizyta, ale kontrowersjami wokół niej można by obdzielić kilka innych**

FOT. PAP/WOJTEK JARGIŁO

29 MARCA, POLSKA. **Weekend pod znakiem Niedzieli Palmowej i wielkanocnych kiermaszy. Zdjęcie powyżej wykonano akurat w Lublinie - ale podobne atrakcje będzie można spotkać w całym kraju**

eprasa.pl aa87686048

Polska
Piątek–niedziela, 27–29.03.2026

Zmiana czasu co pół roku przypomina nam, że każdy z nas nosi w sobie własny zegar. - To od mózgu zależy, czy dzień będzie się dłużył w nieskończoność, czy przeminie, nie pozostawiając po sobie wspomnienia – mówi neurobiolog prof. Wojciech Glac

Anita Czupryn

JAK OSZUKUJE NAS CZAS. **PROF. WOJCIECH GLAC:** IM MNIEJ NOWOŚCI, TYM SZYBCIEJ MIJA ŻYCIE

W nocy z soboty na niedzielę, z 28 na 29 marca, przesuwamy zegarki z godziny 2 na 3 i tym samym kradniemy sobie godzinę snu. Co to znaczy dla mózgu?
Jednorazowe skrócenie snu o godzinę samo w sobie nie jest czymś, co znacząco zaburza pracę mózgu. Większe znaczenie ma to, że zmiana czasu wymusza przesunięcie całego rytmu okołodobowego. Każdemu zdarza się zarwać noc czy wstać wcześniej, ale tutaj organizm musi przestawić swój biologiczny zegar: porę zasypiania, budzenia się i funkcjonowania w ciągu dnia. Zegar biologiczny i społeczny nieco się rozmijają i to właśnie jest dla mózgu wyzwaniem, zwłaszcza - tak jak teraz - kiedy przechodzimy na czas letni.

Po zmianie czasu na letni mówimy sobie: od dziś żyję godzinę wcześniej. Ale czy organizm też to rozumie? Po jakim czasie się przystosowujemy?
W teorii, jeśli wstajemy godzinę wcześniej, to także wcześniej pojawia się presja snu, czyli naturalne zmęczenie wynikające z aktywności podczas dnia. W praktyce jednak poza tą presją snu, czyli mechanizmem homeostatycznym, nasze zasypianie reguluje rytm okołodobowy, który poza ilością światła regulowany jest też przez nasze nawyki. Czas przystosowania jest więc różny - od kilku dni do kilkudziesięciu. Przystosowanie to jest łatwiejsze, jeżeli jesteśmy rannymi ptaszkami, a trudniejsze u osób o późnym chronotypie, czyli u tzw. sów.

Każdy z nas nosi w sobie własny zegar, który nie zawsze zgadza się z tym na ścianie?
Tak, ale ten wewnętrzny zegar nie działa w oderwaniu od świata. Przede wszystkim synchronizuje go światło słoneczne - wschód i zachód słońca są dla mózgu podstawowym sygnałem wyznaczającym rytm dnia. Mniejsze, ale istotne znaczenie mają też nasze nawyki, pory stałych aktywności, jak jedzenie, szkoła czy praca. Jeśli wieczorem powtarzamy określone rytuały, mózg zaczyna je traktować jako część stałego planu dnia. To może wspierać zasypianie, ale też może je opóźniać. Zegar biologiczny jest więc z jednej strony ustawiany przez światło, a z drugiej bardzo podatny na styl życia, przyzwyczajenia i narastające w ciągu dnia zmęczenie.

Światło rano działa trochę jak kawa?
Natężenie światła rejestrowane jest przez specjalne komórki światłoczułe w siatkówce oka, których głównym zadaniem jest synchronizacja rytmu okołodobowego i regulacja aktywności mózgu. Przekazują one informacje do podwzgórza, gdzie znajduje się główny biologiczny zegar mózgu. Dzięki temu światło wpływa na moment wybudzania, zasypiania, a pośrednio także na fizjologię całego organizmu. Rano ma to szczególne znaczenie. Natężenie światła pobudza układy odpowiedzialne za czuwanie, uwagę i gotowość do działania. Badania pokazują, że kontakt ze światłem dziennym zaraz po przebudzeniu pomaga szybciej osiągnąć optymalny poziom pobudzenia potrzebny do codziennej aktywności, zwłaszcza intelektualnej. Dlatego poranny spacer naprawdę działa korzystnie. Nawet przy zachmurzonym niebie światło dzienne jest znacznie silniejsze niż oświetlenie w mieszkaniu czy biurze, więc warto rano wyjść choć na chwilę na zewnątrz. Kawa natomiast osłabia działanie adenozyny, która jest kluczowa dla wspominanego wcześniej mechanizmu presji snu.

Odpowiedział pan na pytanie, które właśnie chciałam zadać: gdzie właściwie mieści się nasze poczucie czasu? W mózgu? W hormonach? Jak odczuwamy rytm dnia?
W mózgu, ale nie ma tam jednego zegara, który mierzy czas. To zależy od tego, o jakim rodzaju czasu mówimy. Inaczej mózg reguluje rytm dnia i nocy, inaczej szacuje sekundy czy minuty potrzebne do działania, a jeszcze inaczej tworzy subiektywne wrażenie, że życie przyspiesza albo zwalnia. Podwzgórze odpowiada za rytm okołodobowy i sezonowe zmiany zachowań, np. związane z rozrodem czy migracjami u zwierząt. Z kolei odczuwanie następstwa zdarzeń, pamiętanie, co było wcześniej, a co później, wiąże się z hipokampem. To on pomaga porządkować doświadczenia w czasie. Inny mechanizm odpowiada za mierzenie krótkich odstępów czasu - ile trzeba poczekać na efekt działania albo kiedy wykonać kolejny ruch. Tu ważną rolę odgrywa prążkowie, które wraz z korą mózgową pozwalają wyznaczać interwały między zdarzeniami. Jest jeszcze czas subiektywny, czyli nasze osobiste wrażenie, że coś się dłuży albo mija błyskawicznie. Ten mechanizm jest bardziej rozproszony. Zależy od emocji, uwagi i od tego, jak bardzo świadomie śledzimy własne odczucia i upływ czasu. W dodatku czym innym jest ocena czasu w trakcie przeżywania sytuacji, a czym innym późniejsze wrażenie jej długości odtwarzane z pamięci.

Wróćmy jeszcze do światła. Żyjemy przecież nie tylko w rytmie słońca, ale też wśród lamp, ekranów, telefonów, komputerów. Dużo mówi się o tym, że niebieskie światło zaburza sen. Faktycznie powinniśmy odkładać telefon przed snem?
Tak, bo światło emitowane przez ekrany, zwłaszcza o dużym natężeniu, może działać na mózg podobnie jak światło dzienne. Jeśli przed snem długo patrzymy w telefon czy komputer, podwzgórze dostaje sygnał, że wciąż trwa dzień i trzeba utrzymać aktywność. Poza światłem ważne są jednak emocje i uwaga. Jeżeli ktoś ogląda coś emocjonującego, robi w telefonie coś angażującego, to może to opóźniać moment zasypiania, bo podtrzymuje pracę układów odpowiedzialnych za czuwanie. Oczywiście presja snu, wynikająca ze zmęczenia, w końcu zrobi swoje i zaśniemy. Problem w tym, że sam moment zaśnięcia może się przesunąć, a dodatkowo pogarszać jego jakość i łączną długość. A zaburzenia snu prowadzić mogą do gorszego funkcjonowania poznawczego czy emocjonalnego. Dlatego odkładanie telefonu przed snem naprawdę ma sens.

PAMIĘĆ DZIAŁA WEDŁUG DOŚĆ PROSTEJ ZASADY: MÓZG PRZEDE WSZYSTKIM ZAPISUJE TO, CO NOWE, ZASKAKUJĄCE I ODSTAJE OD CODZIENNEGO SCHEMATU

Kto gorzej znosi zmianę czasu: dzieci, seniorzy, nastolatki, a może osoby pracujące na zmiany?
Praca zmianowa sama w sobie bardzo silnie obciąża rytm dobowy, bo wymaga jego ciągłego przestawiania. Natomiast jeśli chodzi o samą zmianę czasu, reagujemy na nią bardzo różnie. Decyduje o tym wiele czynników: indywidualna potrzeba snu, zdolność adaptacji, codzienne nawyki, intensywność dnia, a nawet wrażliwość na światło. Często mówi się o ośmiu godzinach snu, ale to tylko średnia. Dla jednych optymalne będzie siedem godzin, dla innych dziewięć. To bardzo indywidualna rzecz, ale badania pokazują, że statystycznie zmiana czasu jest bardziej dotkliwa dla osób zasypiających później i budzących się później, nastolatków oraz wszystkich tych, który mają rozregulowany rytm okołodobowy, nie tylko pracujących zmianowo, ale również tych, którzy sypiają nieregularnie.

Czas nie płynie dla nas równo i to także zależy od wieku. Jako dzieci nie mogliśmy doczekać się gwiazdki czy urodzin, dzień się dłużył. Z wiekiem coraz częściej mamy poczucie, że czas przyspiesza. Dlaczego tak się dzieje? Mózg niejako kompresuje rutynę dorosłego życia i dlatego lata tak łatwo nam znikają?
W dużej mierze tak właśnie jest. Pamięć działa według dość prostej zasady: mózg przede wszystkim zapisuje to, co nowe, zaskakujące i odstaje od codziennego schematu. W dzieciństwie takich doświadczeń jest bardzo dużo, bo niemal wszystko odkrywamy po raz pierwszy. Świat nas wciąż zaskakuje. Ponieważ mamy jeszcze niewiele doświadczeń, trudniej nam przewidzieć, co się wydarzy. Dlatego okres dzieciństwa jest gęsto wypełniony wspomnieniami. Kiedy jako dorośli patrzymy wstecz, mamy wrażenie, że dzieciństwo trwało długo, bo zachowało się z niego mnóstwo szczegółów. To trochę tak, jakby album z tamtych lat był pełen zdjęć, podczas gdy z dorosłości tych zdjęć jest znacznie mniej. Wpadamy w rutynę, życie przestaje nas zaskakiwać, a mózg korzysta z już stworzonego modelu świata. Jeśli rzeczywistość zgadza się z tym modelem, nie ma potrzeby zapisywania nowych śladów pamięciowych. Kolejne dni zlewają się więc w całość. Dopiero kiedy wydarzy się coś nieoczekiwanego, coś wyłamie się z reguły, mózg to rejestruje, bo musi zaktualizować swój obraz świata. Taki dzień dostaje własny znacznik w pamięci i staje się odrębnym wspomnieniem. Im bardziej powtarzalne są nasze dni, tym bardziej subiektywnie czas przyspiesza, bo w pamięci zostaje po nich mniej śladów. Tak można wyjaśnić, jak oceniamy upływ czasu retrospektywnie.

Spotkałam się też, że starsze osoby mówią czasem, że czas bardzo im się dłuży, że od emerytury nie wiedzą, co ze sobą zrobić. Czy starość naprawdę boli czasem także

eprasa.pl aa87686048

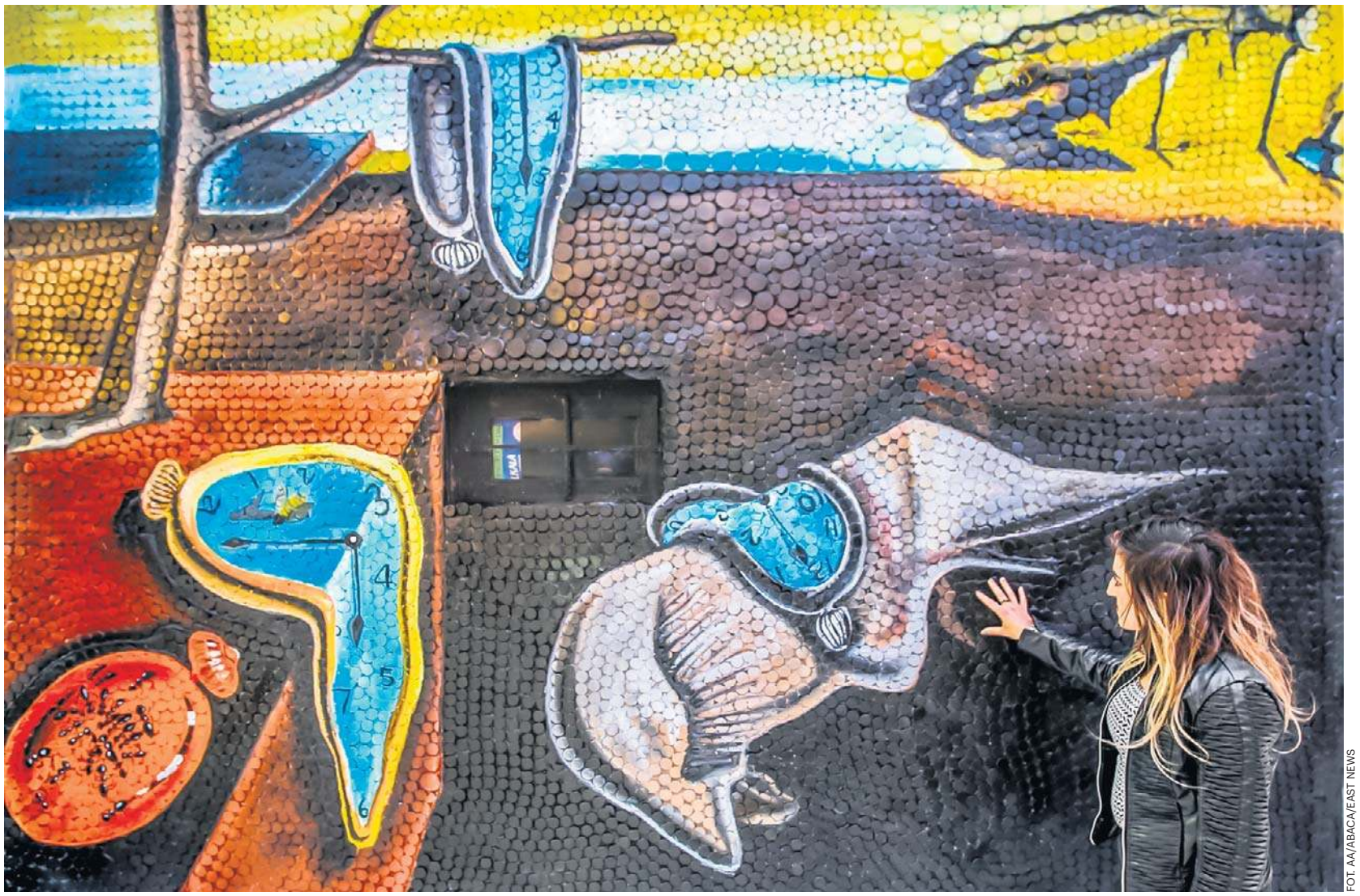

FOT. AA/ABACA/EAST NEWS

Prof. Glac: Czym innym jest ocena czasu w trakcie przeżywania sytuacji, a czym innym późniejsze wrażenie jej długości odtwarzane z pamięci

w tym sensie, że czas płynie wolniej?
Kiedy czegoś nam brakuje i na to czekamy, możemy wyraźniej odczuwać upływ czasu. Mózg pozostaje wtedy w stanie czujności, gotowy na jakieś ważne, oczekiwane zdarzenie lub sygnał zwiastujący jego nadejście. Jeśli ktoś siedzi w domu, nie ma konkretnego zajęcia, ale czeka, aż wydarzy się coś ciekawego – ktoś zadzwoni, przyjdzie do niego, jego uwaga łatwiej kieruje się właśnie na upływ czas. Im bardziej się nudzimy i im mniej jesteśmy pochłonięci jakąś czynnością, tym silniej monitorujemy upływ czasu. Dlatego czas może się dłużyć osobom, które nie mają planu dnia, konkretnego celu albo angażującego zajęcia. Nawet jeśli nie czekają na nic bardzo konkretnego, mogą pozostawać w stanie oczekiwania na coś, co przerwie monotonię. Wówczas łatwiej może powstać wrażenie, że czas się rozwleka.

Czyli mózg potrzebuje tego, kiedy dzień ma plan, punkt odniesienia, jakieś umówione spotkanie?
Plan dnia jest ważny nie tylko dlatego, że dyscyplinuje i porządkuje kolejne zadania i działania, ale również dlatego, że pozwala na bardziej precyzyjne przewidywanie tego, w którym momencie powinien oczekiwać satysfakcji, przyjemności czy nagrody. Brak tego planowania i przewidywania, zwłaszcza u osób, które są w silnej potrzebie czy mają ogólnie problem z tzw. odraczaniem nagrody, może powodować nadmiernie skupienie uwagi na oczekiwaniu tej korzyści, powstawanie silnej presji i poczucie ryzyka, że nagroda przeleci im koło nosa. Z tego powodu mogą one zbyt intensywnie monitorować chwilę bieżącą, zmiany w otoczeniu i w ciele i przez to nadmiernie skupiać się na upływie czasu.

Dziś wszyscy powtarzamy: „Nie mam czasu". A przecież żyjemy w epoce, w której maszyny i aplikacje robią za nas mnóstwo rzeczy. Dlaczego więc wciąż mamy poczucie, że czasu brakuje? Żyjemy szybciej, czy to wina bodźców, które rozbijają naszą uwagę?
Na pewno możemy doświadczać przeciążenia nadmiarem nadmiernie emocjonujących zdarzeń, co może prowadzić do osłabienia naszych zdolności poznawczych, a przez to zdolności do planowania, przewidywania oraz efektywnej kontroli uwagi. To wywołuje stres, zwiększa presję, a w presji chcemy szybko osiągnąć efekt, niedoszacowując czasu, jaki potrzebujemy na jego osiągnięcie. To powoduje, że wszystko wydaje się zajmować więcej czasu, niż pierwotnie przewidywaliśmy, pozostawiając poczucie, że nie nadążamy i nie mamy na nic czasu. Ten nadmiar emocji i istotnych spraw wpływa też na funkcjonowanie naszego wewnętrznego zegara. Jego wskazówki tykają wówczas niejako szybciej niż tego zegara na ścianie. To nam spowalnia subiektywny upływ czasu w tej konkretnej chwili, ale kiedy spojrzymy w końcu na zegar, nie możemy się nadziwić jak dużo to nam w rzeczywistości zajęło czasu. Ten swoisty rozdźwięk może pozostawiać w pamięci przekonanie, że wszystko zajmuje więcej czasu niż go mamy i w ten sposób wzmaga ryzyko, że nie zdążymy ze wszystkim na czas. Poczucie ryzyka wyzwala emocje i stres, i błędne koło się zamyka.

Można powiedzieć, że mózg mierzy czas emocjami?
W pewnym sensie tak, bo emocje bardzo silnie wpływają na nasze subiektywne odczuwanie czasu. Im bardziej jakieś zdarzenie jest dla nas ważne i im silniejsze wywołuje pobudzenie, tym wyraźniej zmienia się sposób, w jaki przeżywamy jego upływ. Nie chodzi o to, że mózg dosłownie ma jeden zegar odmierzający sekundy jak stoper, ale o to, że pod wpływem emocji, uwagi i pobudzenia inaczej przetwarzamy to, co dzieje się wokół nas i w nas samych. Kiedy dzieje się coś bardzo ważnego, np. budzącego silny lęk, silniej skupiamy uwagę, rejestrujemy więcej zmian, więcej szczegółów, więcej sygnałów płynących z otoczenia i z własnego ciała. W takiej chwili czas może subiektywnie zwalniać – mamy wrażenie, jakby dana sekunda trwała dłużej niż zwykle. W skrajnych sytuacjach może się wręcz wydawać, że czas na moment stanął w miejscu. Po takim zdarzeniu często odnosimy też wrażenie, że trwało ono dłużej, niż wskazywałby zegarek, bo świeży ślad pamięciowy jest bardzo gęsty, bogaty w szczegóły i mocno nasycony emocjami. A kiedy wracamy do tego jeszcze później, z perspektywy czasu, ta chwila nadal może wydawać się długa, bo pamięć zachowała z niej wyjątkowo dużo elementów. Z kolei, kiedy przeżywamy coś przyjemnego, wciągającego i dającego satysfakcję, bywa odwrotnie – gdy ta chwila się kończy, pojawia się wrażenie, że minęła za szybko, że była zbyt krótka. Wpływa na to wygasające po zakończeniu tego zdarzenia poczucie przyjemności. Tak więc emocje nie tyle mierzą czas, ile bardzo silnie modulują to, jak go odczuwamy – zarówno w trakcie zdarzenia, tuż po nim, jak i wtedy, gdy wracamy do niego we wspomnieniu.

Najczęściej brakuje nam czasu na to, co najważniejsze: na spotkania z ludźmi, których kochamy, na rozmowę, bliskość, relaks, odpoczynek. Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego tego nie wybieramy, tylko mówimy: nie mam czasu, mam tyle do zrobienia?
To zależy od tego, jak mózg ustawia priorytety, czyli jaką nadaje ważność poszczególnym zadaniom czy potrzebom. To bardzo indywidualna sprawa, ale ogólnie zależy od wielkości tej potrzeby, wielkości potencjalnej korzyści lub straty, kosztów, czasu oczekiwania na efekt, od wielu różnych czynników i cech danej osoby. Może więc zdarzyć się tak, że tym, co wygrywa, będzie praca, deadliny, projekty i spotkania zawodowe, a tym co przegrywa, będą relacje towarzyskie i rodzinne czy spacer, relaks i odpoczynek. Zwykle więc robimy to, co pilne i grozi stratą, odkładając na potem to, co może zaczekać i nie wydaje nam się absolutnie konieczne. Ale też są wśród nas osoby, które zamiast zajmować się rzeczami ważnymi, są w stanie rzucić wszystko i spędzić pół dnia ze wzrokiem wlepionym w ekran telefonu, który oferuje dużą, natychmiastową, pewną i bezwysiłkową nagrodę. Nie chodzi o to, że nie cenimy odpoczynku czy relacji, lecz o to, że cele pilne i obarczone potencjalnymi negatywnymi konsekwencjami lub cele pozwalające na osiągnięcie natychmiastowej i znacznie wyższej satysfakcji aktywują system motywacyjny i decyzyjny silniej niż korzyści naturalne, które oferują mniejszą i nie tak natychmiastową nagrodę. Mniejszą oczywiście nie oznacza, że mniej ważną, ale w dobie ciągłego zmagania się z obniżeniem nastroju i stresem, ludzie mają tendencję do poszukiwania ulgi w czymś, co daje szybkie i spektakularne efekty.

Są jakieś proste praktyki, które pomagają odzyskać poczucie czasu? Rytuały, formy regularności, ćwiczenia uważności, które mogą nam pomóc?
Na pewno pomocne jest bardziej świadome przeżywanie tego, co dzieje się wokół nas. Jeśli komuś dni przeciekają przez palce, warto próbować mocniej je zauważać. Temu właśnie służą różne praktyki mindfulness polegające na ukierunkowaniu uwagi na bieżącym doświadczeniu - zwracanie uwagi na to, co teraz robię, co widzę, co słyszę, co się wokół mnie dzieje. To ważne, bo właśnie taka świadoma uwaga pozwala tworzyć bardziej wyraźne, unikatowe wspomnienia, by łatwiej uniknąć poczucia, że czas przecieka nam między palcami, a dni zlewają się w jeden. Jak ktoś ma wystarczająco nomen omen czasu, to może prowadzić dziennik, zapisując zdarzenia – łatwiej je wówczas pamiętać, a przeglądając dziennik zauważyć, że rok miał jednak 365 dni, a nie 2 czy 3 – te wyjątkowe – świąteczne czy urlopowe. Pomocne będzie na pewno robienie rzeczy niecodziennych, nawet drobnych, które łamią rutynę. To właśnie nowość, zmiana, odstępstwo od reguły sprawiają, że dane zdarzenie czy dzień ma szansę zapisać się w pamięci trwalej i stworzyć unikatowe wspomnienie. Im więcej takich momentów, tym łatwiej odróżnić od siebie kolejne dni i tym mniejsze będzie wrażenie, że życie przemija nie wiedzieć kiedy.

CV

FOT. MAT.PRAS

Prof. Wojciech Glac
Neurobiolog w Pracowni Neurobiologii Katedry Fizjologii Zwierząt i Człowieka Uniwersytetu Gdańskiego. Jego największą pasją jest popularyzacja nauki. Prowadzi wykłady popularnonaukowe i warsztaty z dziedziny neurobiologii i immunologii. Autor wielu książek i publikacji naukowych

eprasa.pl aa87686048

DLACZEGO JEZUS WJECHAŁ DO JEROZOLIMY NA OSIOŁKU?

Dlaczego na ośle, a nie na koniu? Dlaczego nie wjechał na wozie albo nie wszedł pieszo? Czy akurat osioł najlepiej pasował do Króla, którego zapowiadał prorok Zachariasz?

Mariusz Grabowski

Stało się to - tłumaczy Ewangelista Mateusz - żeby się spełniło słowo Proroka: »Powiedzcie Córze Syjonu: Oto Król twój przychodzi do ciebie łagodny, siedzący na osiołku, źrebięciu oślicy«".

Poczciwy osioł?

Chrystus na ośle pośród wiwatujących tłumów to jeden z najbardziej sugestywnych obrazów Nowego Testamentu. Ale z osłem jest pewien kłopot: w Piśmie Świętym wspomina się o nim ponad 130 razy, ale nie zawsze pozytywnie. Co ciekawe, więcej cech pozytywnych przypisywano oślicy niż osłowi, co dziś ma małe znaczenie, lecz w świecie żydowskim znacznie większe.

W ikonografii chrześcijańskiej był uznawany za zwierzę pracowite, przypisywano mu wytrwałość, cierpliwość, posłuszeństwo i pokorę. Kilkaset lat po wjeździe Chrystusa do Świętego Miasta Orygenes napisał wprost, w komentarzu do Ewangelii Łukasza, że osioł symbolizuje człowieka wierzącego, którego Jezus Chrystus zamierza zbawić.

Ale osioł uchodził też za symbol zawiści, szatana, lenistwa. W niektórych przypadkach cudzołóstwa (np. w Księdze Ezechiela (23,20), gdzie osioł jest użyty jako metafora potencji seksualnej kochanków). Do osłów przyrównywano ponadto m.in. heretyków. Z czasem osła uznano też za symbol ślepoty narodu żydowskiego i Synagogi.

„To jest prorok"

Otwórzmy Ewangelię Mateusza na rozdziale 21: „Gdy się zbliżyli do Jerozolimy i przyszli do Betfage na Górze Oliwnej, wtedy Jezus posłał dwóch uczniów, mówiąc im: »Idźcie do wsi, która jest przed wami, a zaraz znajdziecie uwiązaną oślicę i przy niej źrebię. Odwiążcie je i przyprowadźcie do Mnie. A gdyby wam ktoś coś mówił, powiecie: »»Pan ich potrzebuje i zaraz je odeśle««. A stało się to, żeby się spełniło słowo Proroka: »Powiedzcie Córze Syjonu: Oto Król twój przychodzi do ciebie łagodny, siedzący na osiołku, źrebięciu oślicy«.

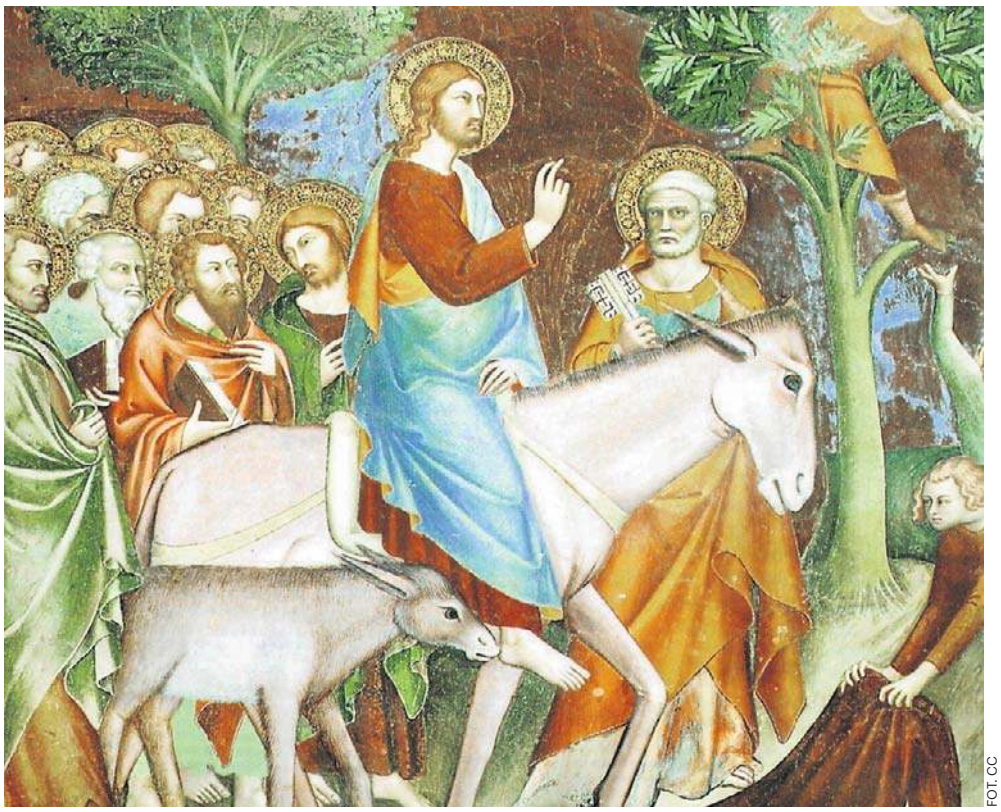

FOT. CC

Na początku IV w., kiedy tylko ustały prześladowania chrześcijan, wjazd Jezusa do Jerozolimy przerodził się w święto, które znamy dziś jako Niedzielę Palmową

Uczniowie poszli i uczynili, jak im Jezus polecił. Przyprowadzili oślicę i źrebię i położyli na nie swe płaszcze, a On usiadł na nich. Tłum zaś ogromny słał swe płaszcze na drodze, a inni obcinali gałązki z drzew i słali nimi drogę. A tłumy, które Go poprzedzały i które szły za Nim, wołały głośno: »Hosanna Synowi Dawida! Błogosławiony Ten, który przychodzi w imię Pańskie! Hosanna na wysokościach!«.

Gdy wjechał do Jerozolimy, poruszyło się całe miasto, i pytano: »Kto to jest?«. A tłumy odpowiadały: »To jest prorok, Jezus z Nazaretu w Galilei«".

Przybywa Król!

W powyższej scenie wypełnia się to, co zostało napisane przez proroka Zachariasza: przybywa Król pokoju przybrany w prostotę i „Jego panowanie rozciąga się aż po krańce ziemi" (por. Za 9,10).

Jezus jest Królem i dlatego wkracza do królewskiej Jerozolimy, ale nie przemocą, nie rozgłaszając powstania przeciw rzymskim wojskom. Jego potęga rodzi się z prostoty, bożego pokoju, jedynego źródła zbawczej mocy. Św. Josemaría Escrivá de Balaguer, w homilii na temat tego fragmentu zaznacza wręcz, że „kiedy się zbliża chwila Jego Męki, Jezus, chcąc okazać swoją królewską godność, w sposób obrazowy, triumfalnie wkracza do Jerozolimy na ośle!".

Zaś bł. Álvaro del Portillo dodaje: „Aby osiołek mógł nieść Pana (...) potrzebne było, aby jakaś dusza apostolska poszła odwiązać go od żłobu. W taki sposób każdy z nas powinien iść do dusz, które nas otaczają, i które czekają na rękę apostoła (...), która odwiąże je od żłobu rzeczy światowych, aby być tronem Pana".

Łagodność, nie siła

Uroczysty wjazd Jezusa do Jerozolimy opisują wszystkie cztery Ewangelie. Przypomnijmy chronologię wydarzeń: Jezus dwa dni wcześniej wskrzesił w Betanii Łazarza. Wieść o tym cudzie rozeszła się szeroko wśród ludu, wielu przybyło do Betanii, by zobaczyć wskrzeszonego. Jezus już wcześniej był bardzo znany wśród Żydów, a po tym wydarzeniu Jego sława jeszcze wzrosła.

Po wizycie w Betanii Jezus udał się do Betfage; tam polecił uczniom, by znaleźli osiołka, na którym wjechał do Jerozolimy. „W tamtych czasach królowie wjeżdżali do miast na koniu, który był zwierzęciem bojowym. Gdyby więc Jezus chciał ukazać się ludziom jako Król-triumfator, z pewnością wybrałby właśnie konia. Ale Jezus wybrał osiołka, żeby pokazać, że Jego królowanie jest inne - łagodne i pokorne" - twierdzi ks. prof. Józef Naumowicz, patrolog i znawca wczesnego chrześcijaństwa.

O „łagodnym królowaniu" pisał już Św. Augustyn: „Nie jest Chrystus królem Izraela dla nakładania podatków lub żeby mieć wojsko żelazem uzbrojone i fizycznie pokonywać wrogów, lecz jest On Królem Izraela, który duchami rządzi, o wieczność się troszczy, bo wierzących, ufających i kochających, do królestwa niebieskiego prowadzi".

W tle Krzyż

W Ewangelii Mateusza ważny z punktu widzenia jego interpretacji jest nakaz Jezusa, aby uczniowie przyprowadzili „oślę, którego jeszcze nikt nie dosiadał". W starożytnym świecie żydowskim osioł był bowiem zwierzęciem wykorzystywanym do prac wokół domu. Wiemy jednak, że był też związany z postacią Króla. Widać to w historii Salomona: Król Dawid, chcąc ustanowić go następcą na tronie, nakazuje posadzić Salomona na swoim ośle, zaprowadzić do źródła Gichon i tam dokonać rytuału namaszczenia (1 Krl 1,32-34). W tym kontekście wjazd Jezusa na ośle do Miasta Świętego zyskuje mesjański, królewski charakter.

Ten uroczysty ingres Jezusa - Mesjasza na oślęciu, kontrastuje ze sposobem obejmowania władzy przez możnych tego świata. Jezus przybywa jako Król pokoju, pokorny i łagodny. Tymczasem władcy tego świata muszą uciekać się często do siły i przemocy.

To zarazem zapowiedź wydarzeń, które będą miały miejsce już za kilka dni. „Jezus wjeżdża do Jerozolimy na pożyczonym Mu osiołku (...) Wśród tej radości poprzedzającej uroczystości paschalne Jezus jest skupiony i milczący. Jest w pełni świadomy tego, że to spotkanie serc ludzkich z wiecznym Wybraniem nie dokona się przez »Hosanna!«, ale przez Krzyż" - mówił św. Jan Paweł II w homilii na Niedzielę Palmową wygłoszonej 8 kwietnia 1979 r.

Palmy i płaszcze

Przyjrzyjmy się innym symbolom, towarzyszącym wjazdowi do Jerozolimy. Ewangelista Marek pisze: „Przyprowadzili więc oślę do Jezusa i zarzucili na nie swe płaszcze, a On wsiadł na nie. Wielu zaś słało swe płaszcze na drodze, a inni gałązki ścięte na polach. A ci, którzy Go poprzedzali i którzy szli za Nim, wołali: »Hosanna! Błogosławiony Ten, który przychodzi w imię Pańskie. Błogosławione królestwo ojca naszego Dawida, które przychodzi".

Zacznijmy od „gałązek ściętych na polach". Ks. Naumowicz wyjaśnia, że w świecie starożytnym palma była drzewem królewskim, symbolem triumfu i zwycięstwa. Gest symbolicznego uniesienia palmy także dziś oznacza, iż uznajemy Jezusa za Zbawiciela i króla, i chcemy za Nim podążać.

Głęboko symboliczne i historyczne na też „słanie płaszczy na drodze". Na starożytnym Bliskim Wschodzie zrzucenie odzienia było aktem poddaństwa i najwyższego szacunku, okazywanym władcom lub osobom o wielkim znaczeniu. Z kolei okrzyk „Hosanna" z psalmu 118 znaczy dosłownie: „Zbaw, proszę". Użycie go w odniesieniu do Jezusa było w rzeczywistości zrównaniem Go z Bogiem.

Patriarcha na ośle

Na początku IV w., kiedy tylko ustały prześladowania chrześcijan, wjazd Jezusa do Jerozolimy przerodził się w święto, które znamy dziś jako Niedzielę Palmową. Z zachowanego opisu pątniczki Egerii wynika, że w pierwszych wiekach w Jerozolimie procesja z palmami rozpoczynała się na Górze Oliwnej.

Sam patriarcha Jerozolimy dosiadał osła i zjeżdżał na nim do Bazyliki Grobu Pańskiego w Jerozolimie. Przez całą drogę liście palmowe przed jadącym osiołkiem kładły dzieci. Następnie wszyscy udawali się do bazyliki Anastasis, gdzie sprawowano uroczystą liturgię.

Z czasem zwyczaj ten rozpowszechnił się na cały Kościół. W Rzymie już w IV w. w Niedzielę Palmową czytano w kościołach nie tylko Ewangelię o wjeździe Jezusa, ale też opis Męki Pańskiej. Zwyczaj ten obowiązuje do dziś w całym Kościele

Znaki i ich brak

Zwyczaj święcenia palm pojawił się już ok. VII w. na terenach dzisiejszej Francji, ale w obrządkach całego Kościoła stał się powszechny dopiero w wieku XI. Obrósł też dodatkowymi symbolicznymi gestami.

Np. aż do reformy Kościoła katolickiego z 1955 r. istniał zwyczaj, że celebrans wychodził w Niedzielę Palmową przed kościół, a bramę świątyni zamykano. Następnie kapłan uderzał w nią krzyżem trzykrotnie, wtedy dopiero brama otwierała się i kapłan z uczestnikami procesji wchodzili do kościoła, aby odprawić mszę świętą. Symbol ten miał wiernym przypominać, że zamknięte niebo zostało otwarte dzięki zasłudze krzyżowej śmierci Chrystusa.

Niedziela Palmowa to jeden z dwóch dni w roku w Kościele katolickim, kiedy czyta się lub śpiewa opis Męki Pańskiej. Odbywa się on bez świeczników i okadzania księgi. Czytający nie pozdrawia także ludu i nie robi znaków krzyża na księdze i na sobie.

eprasa.pl aa87686048

MATERIAŁ INFORMACYJNY ENERGA SA
11491265

GRUPA ENERGA, KRAJOWY LIDER W BUDOWIE ZRÓWNOWAŻONEJ, NOWOCZESNEJ ENERGETYKI

Grupa Energa ogłosiła w tym roku historyczny wynik. Moc zainstalowana w należących do niej źródłach odnawialnych przekroczyła 1 GW. Firma w swojej strategii planuje jej podwojenie w perspektywie najbliższej dekady.

Dynamika zmian w krajowej energetyce nabrała niebywałego tempa w ostatnich latach. Jednym z głównych akceleratorów transformacji jest Grupa Energa, należąca do Grupy ORLEN, aktywnie rozwijająca źródła odnawialne.

W lutym tego roku, Grupa Energa ogłosiła historyczny wynik. Moc zainstalowana w należących do niej odnawialnych źródłach przekroczyła 1 GW, osiągnąć poziom prawie 60 proc. mocy ogółem.

Firma nie zwalnia jednak tempa. W strategii rozwoju przewiduje dalsze inwestycje w rozwój OZE oraz źródła stabilizujące system energetyczny.

- Planujemy do 2035 roku oddać jeden gigawat w energii odnawialnej - powiedziała Magdalena Kamińska, p.o. prezes zarządu Energi SA w rozmowie z Dziennikiem Bałtyckim podczas targów PowerConnect 2026, których koncern był partnerem strategicznym.

Kolejne 300 MW z OZE jeszcze w tym roku

Portfolio spółki Energa Green Development (EGD), odpowiedzialnej w Grupie Energa za rozwój lądowych źródeł odnawialnych, obejmuje kolejne projekty o łącznej mocy ok. 1 GW, będące na różnych etapach przygotowania do realizacji. W większości są to źródła fotowoltaiczne, ale planowane są też projekty farm wiatrowych o łącznej mocy ok. 46 MW.

- Tylko w tym roku planujemy oddać kolejne 300 MW mocy w źródłach odnawialnych, zarówno w wietrze, jak i w fotowoltaice - dodała Magdalena Kamińska.

Obecnie powstają, bądź oczekują na ostatnie decyzje formalne, źródła odnawialne o łącznej mocy ok. 300 MW. Są to m.in. PV Kotla (docelowa moc 130 MW), PV Serby (112 MW) czy PV Wąbrzeźno (10 MW).

Rozwiązania hybrydowe

Budowa zielonej energetyki to złożony proces. Odnawialne źródła energii i ich funkcjonowanie w systemie energetycznym wymaga inwestycji w rozwiązania stabilizujące i modernizację sieci.

- Jesteśmy świadomi nowych wyzwań, jakie stoją przed energetyką odnawialną, jak np. konieczność modernizacji sieci, ale także uelastycznienie i hybrydyzacja samych aktywów wytwórczych. Dlatego m.in. planujemy łącznie prawie 130 MW mocy odnawialnych w formule cable-pooling, a także wdrożenie pierwszych projektów hybrydowych, łączących OZE z magazynami energii - podkreśla Magdalena Kamińska.

Plany przewidują, że do końca 2035 roku Energa posiadać będzie tego typu instalacje o łącznej mocy 1,4 GW. Nie będą to tylko wielkoskalowe magazyny, ale również instalacje w układzie hybrydowym, czyli połączenie magazynów razem ze źródłami odnawialnymi. Firma złożyła trzynaście wniosków o dofinansowanie takich projektów hybrydowych w rundzie dotacyjnej zorganizowanej w ubiegłym roku przez Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej.

Gazowa rewolucja w energetyce systemowej

W gdańskiej dzielnicy Rudniki powstaje inwestycja, jakiej nie było w historii Pomorza. Trwa budowa nowoczesnego, elastycznego źródła energii. Elektrownia gazowo-parowa Energi będzie miała moc 560 MWe.

Blok CCGT Gdańsk (CCGT- ang. Combined Cycle Gas Turbine) będzie pierwszą tak dużą jednostką bilansującą w okolicach Trójmiasta.

- To elektrownia kluczowa dla miasta i Pomorza jako jeden z filarów bezpieczeństwa dostaw energii, a dla Grupy Energa istotny element realizacji naszej zdywersyfikowanej wizji transformacji energetycznej. Odpowiadamy w ten sposób na potrzeby zmieniającego się sektora, umiejętnie łącząc rozwój nowych technologii i źródeł ze stabilnością pracy polskiego systemu energetycznego - mówi p.o. prezes Energi.

Prąd w elektrowni gazowo-parowej wytworzą gorące spaliny powstałe w procesie spalania gazu ziemnego. Zasilą one turbinę gazową oraz podgrzeją wodę w kotle odzysknicowym, który parą zasila turbinę parową. Obie turbiny napędzają z kolei generator energii elektrycznej.

- Sprawność takiego układu jest bardzo wysoka i wynosi powyżej 60 proc. Dla porównania w klasycznej elektrowni węglowej sprawność mieści się w granicach 40 proc. Mamy więc dużo efektywniejsze źródło energii oraz trzykrotnie mniejszą emisję CO2 i brak emisji pyłów i tlenków siarki - uzupełnia Grzegorz Błędowski, prezes zarządu spółki CCGT Gdańsk.

Dostawy pierwszych kluczowych urządzeń - w tym obu turbin, gazowej i parowej - planowane są na 2027 rok . Pierwsza energia z CCGT Gdańsk ma popłynąć już w 2029 roku.

Gdańska elektrownie nie jest jedynym projektem gazowo-parowym Energi. Trwają rozruchy instalacji CCGT Grudziądz I i CCGT Ostrołęka. W budowie jest również blok CCGT Grudziądz II.

Producent-konsument w nowej relacji

Transformacja energetyczna nie powiedzie się bez rozbudowy infrastruktury dystrybucyjnej, która będzie w stanie sprostać zmiennej produkcji energii.

Grupa Energa, poprzez spółkę Energa Operator, realizuje największy w swojej historii program inwestycyjny warty 40 mld zł, który pozwoli spółce zbudować ponad 11 tys. km nowych linii elektroenergetycznych oraz 7 tys. km linii kablowych. Zmodernizowane zostanie też blisko 10 tys. km linii już istniejących. Do 2035 r. stworzy to m.in. warunki do przyłączenia aż 9 GW nowych źródeł odnawialnych, w tym ok. 200 tys. prosumentów.

Dzięki temu, konsumenci energii stają się ogniwem systemu energetycznego, jako dostarczyciele kilowatogodzin z małoskalowych instalacji

- Bardzo istotne jest propagowanie wśród klientów świadomości, że dzisiaj swoimi wzorcami zachowań mają wpływ na to, jak ta energetyka będzie wyglądać - mówiła Magdalena Kamińska, p.o. prezes zarządu Energi SA.

FOT. GRUPA ENERGA

Powstająca na Pomorzu farma fotowoltaiczna PV Łosienice

FOT. GRUPA ENERGA

Najnowsza farma wiatrowa Grupy Energa - FW Szybowice (woj. opolskie)

FOT. GRUPA ENERGA

CCGT Grudziąc I w budowie. Podobnie będzie wyglądać CCGT Gdańsk

eprasa.pl aa87686048

Właśnie ukazała się nowa płyta rockowej grupy T.Love – „Orajt". Frontman i lider zespołu Muniek Staszczyk opowiada nam o swym powrocie do śpiewania po wylewie, kłopotach z kolegami-muzykami, swoich poglądach na polską politykę i jak to dobrze jest być... dziadkiem

Paweł Gzyl

FOT. 1MAT.PRAS. UNIVERSAL MUSIC GROUP

Muniek Staszczyk: Do 55 czułem się właściwie nieśmiertelny. Nigdy nie byłem w szpitalu, bałem się lekarzy, nie robiłem sobie żadnych badań. Teraz to wygląda zupełnie inaczej

MUNIEK STASZCZYK: MUSIAŁEM SOBIE SPORO PRZESTAWIĆ W GŁOWIE

Obaj jesteśmy po sześćdziesiątce, więc nie sposób tej rozmowy nie zacząć od pytania: „Jak tam zdrowie, panie kolego?"
Dzięki Bogu daję radę. W tym wieku to jednak już zawsze coś dolega. Jestem po poważnym udarze, ale wróciłem do żywych. Nagrywam, występuję, potrafię zaśpiewać dwugodzinny koncert. Mówiąc po chrześcijańsku, grzechem byłoby więc narzekać.

Jak udało ci się wrócić do tak dobrej formy po tym udarze?
To złożona sprawa. Dostałem wylewu w Londynie i miałem szczęście, że trafiłem tam od razu do szpitala na oddział, który się specjalizuje w tego rodzaju przypadkach. Potem w Warszawie zostałem otoczony bardzo dobrą opiekę świetnych lekarzy. Miałem też dużo samozaparcia w sobie. Kiedy mnie postawiono na nogi, musiałem się poddać intensywnej rehabilitacji. Ćwiczyłem codziennie w grupie pacjentów pod okiem dobrych fizjoterapeutów. Na koniec okazało się, że nasz basista Paweł „Nazim" Nazimek poznał fajną panią neurolog ze Śląska, która ma tam nowoczesne centrum rehabilitacji. I ona chętnie mnie przyjęła, bo jest fanką T.Love. Generalnie otrzymałem wiele ciepła od wielu ludzi i było to bardzo budujące.

Jak dzisiaj dbasz o zdrowie?
Jestem przede wszystkim regularnie monitorowany przez lekarzy. Do 55 czułem się właściwie nieśmiertelny. Nigdy nie byłem w szpitalu, bałem się lekarzy, nie robiłem sobie żadnych badań. Teraz to wygląda zupełnie inaczej. Śmieję się, że znam więcej lekarzy niż muzyków. Mam już swój rytm: tu neurolog, tu kardiolog, tu dietetyk, tu fizjoterapeuta. Codziennie mierzę sobie ciśnienie, bo ten udar był spowodowany nieleczonym przez lata nadciśnieniem. Mam w domu stacjonarny rowerek, więc sobie ćwiczę. Więcej spaceruję. Do tego odstawiłem wszelkie używki – jedynie czasem do kolacji jakieś małe winko. Musiałem więc sporo sobie przestawić w głowie.

Trudno ci było wrócić do nagrywania i koncertowania?
Najpierw w ogóle nie myślałem o żadnym graniu. Kiedy byłem w szpitalu w Londynie i spytano mnie, czego się najbardziej boję, wskazałem na drzwi od sali i powiedziałem: „Jest w Warszawie duży klub Stodoła, w którym gramy co roku dla dwóch tysięcy ludzi. Ale teraz gdyby mi ktoś powiedział, że za tymi drzwiami jest ta nasza widownia, to bym się skulił i ukrył na łóżku pod kołdrą. W ogóle nie mogę o tym myśleć". Po przenosinach do Warszawy, miałem z neuropsychologiem ćwiczenia na refleks i logikę. To mi bardzo pomogło. Doszedłem wtedy z moim nowym managementem do wniosku, że musimy skończyć moją solową płytę, którą zacząłem przed wylewem. Dostałem więc boombox ze słuchawkami i odsłuchiwałem wstępne wersje nagrań. Robiłem uwagi w zeszycie i menedżer przekazywał je producentowi. W międzyczasie autoryzowałem wywiad-rzekę „King!". Czułem się padnięty, jakbym tonę węgla przenosił, ale zrobiłem to. Dlatego kiedy wyszedłem ze szpitala, było już ze mną nienajgorzej. Płyta się ukazała i została ciepło przyjęta, co bardzo mnie ucieszyło. Niestety: przyszła pandemia i psycha mi totalnie siadła. Dopadła mnie wtedy niespodziewanie padaczka poudarowa. Musiałem więc znowu wrócić do szpitala. Nie poddałem się jednak. Pomyślałem, że zwariuję, jak będę tak siedział w domu. Wpadłem wtedy na pomysł, aby wrócić z T.Love. I tak też się stało. Skrzyknąłem skład i w 2022 roku nagraliśmy płytę „Hau, hau!", która została świetnie przyjęta przez fanów i media.

Wszystko szło dobrze, aż tu nagle gruchnęła wiadomość, że rozstajesz się z dwoma muzykami zespołu – najpierw z gitarzystą Jankiem Benedkiem, a potem z perkusistą Sidneyem Polakiem. Co się stało?
Mimo że to moja decyzja, była to dla mnie bolesna sytuacja. Jej przyczyny są złożone. Janek jest dobrym muzykiem, ale też dużym indywidualistą i ma wielkie ego. Dlatego powinien realizować się solowo lub mieć własny zespół. Ja jestem z punkowej epoki, T.Love trzyma się więc razem, wszyscy traktujemy się tak samo, również pod względem finansów. Za koncerty zawsze dzielimy się po równo, tylko z płyt mam trochę więcej ze względu na staż. Tymczasem Janek okazał się fanem papierologii i zażądał podpisywania jakichś dokumentów. Naczytał się biografii słynnych rockowych zespołów i naciskał na zaangażowanie prawników. Ja nie mówię, że to jest niepotrzebne, ale może naiwnie myślałem, że jak zespół tworzą faceci po 50., to tylko będą czerpali przyjemność z grania. Tymczasem on mówi: „To jest Europa, a nie Białoruś". „Ale chyba musimy sobie ufać" – ja mu na to. Kiedy więc podsunął mi kolejny papier do podpisania, doszło między nami do spontanicznej kłótni w studiu. Wściekłem się i wyszedłem na zewnątrz. Ochłonąłem chwilę i napisałem mu SMS, że kończymy współpracę. Stwierdziłem, że najlepiej będzie w ten sposób załatwić sprawę, bo gdybym mu to powiedział w oczy, to mogłoby być różnie. Zresztą ja właśnie w ten sposób najczęściej komunikuję się z ludźmi.

A jak było z Sidneyem Polakiem?
Kiedy rozstałem się z Jankiem, na jego miejsce wskoczył Maciek „Majcher" Majchrzak. A on miał pewną niezałatwioną sprawę z Polakiem. Kiedyś prowadzili razem salę prób dla zespołów. T.Love nawet grał tam przez kilka lat przed zawieszeniem działalności. Maciek włożył w tę salę spore pieniądze, a potem z tego co mówi, Polak, w niezbyt ładny sposób go wyeksmitował. Ani nie załatwił tego finansowo, ani nie przeprosił. Dlatego Maciek zgodził się dołączyć do T.Love, ale powiedział, że nie stanie z Polakiem na jednej scenie. Stwierdziłem więc, że jest źle. Dlatego po koncercie w Stodole powiedziałem Polakowi, że ma do końca listopada załatwić sprawę z Maćkiem. Dałem mu do zrozumienia, że powinien się z nim rozliczyć, ale znając Maćka, myślę, że wystarczyłoby, gdyby Polak zaprosił go na dobrą kolację z winem. Niestety: nie było odzewu. Maciek powiedział więc, że muszę zdecydować: albo on, albo Sidney. A że Polak przez lata odwalał różne numery i musiałem mu kryć dupę przed zespołem, stwierdziłem, że wybieram Maćka. Napisałem mu więc SMS, z którym on poleciał do mediów. W efekcie stałem się dla fanów despotą i dyktatorem, no bo jak można kumpla po 35 latach wywalić z kapeli. Cóż – ludzie nie wiedzą jak to jest być liderem i podejmować trudne decyzje. Rockowy zespół to czterech czy pięciu fa-

eprasa.pl aa87686048

cetów, wysoki poziom testosteronu, wszystko się ciągle kotłuje, każdy na każdego ma haki lub jakąś zadrę z przeszłości. Ktoś jednak musi podejmować decyzje, które wpływają na losy tego przedsiębiorstwa. U nas ja to robię – bo to przecież ja założyłem T.Love w 1982 roku.

Jak w takiej atmosferze nagraliście materiał na nową płytę – „Orajt"?
Kiedy pojawiły się te tarcia, próby przed koncertami przebiegały w ciężkiej atmosferze. W międzyczasie cały czas pracowałem nad nowymi piosenkami z naszym drugim gitarzystą – Jackiem „Perkozem" Perkowskim. On mieszka w Podkowie Leśnej pod Warszawą, więc dojeżdżałem do niego kolejką WKD, bo nie mam uprawnień do jazdy autem po udarze. To było fajne, bo mogłem obserwować z bliska prawdziwe życie zwykłych ludzi. Nawet mnie to zainspirowało do tekstów. Perkoz po mnie wyjeżdżał na dworzec i jechaliśmy do niego do chaty tworzyć piosenki. To była dla mnie zupełnie inna forma pracy niż dotychczas. Zazwyczaj chłopaki wymyślali muzykę na próbach, a potem ja dopisywałem w domu teksty. Tym razem było na odwrót. Teksty rodziły się jako taki patchwork: tu fragment filmowego dialogu, tu cytat z książki, to coś z jakiegoś mądrego kazania w kościele. Wszystko to notowałem, tworzyłem wstępne zajawki i wysyłałem je Perkozowi, który kleił do nich muzę.

Spodobała ci się taka forma pracy?
Poprzedni album zespołu „Hau, hau!" zrobiłem tylko z Jankiem. A on musi mieć wszystko dokładnie ułożone i dba, aby każda sylaba się zgadzała. Tu na tej płycie jest więcej lekko puszczonych myśli i złamanych rymów. Po tym wylewie jestem trochę powolny, więc coś tam w domu składałem, przyjeżdżałem do Perkoza i śpiewałem. On ma małe studio, więc była domowa atmosfera. Herbatka na stole, pod nogami chodzi kot, Perkoz pół metra obok mnie, a ja nagrywam wokale po raz pierwszy w życiu na siedząco. A że jeszcze wtedy Janek był w zespole, myślałem, że pożenimy te utwory Perkoza z jego numerami. Chciałem, żeby też pozostali muzycy przynieśli swoje pomysły - i potem pracując w podgrupach z producentem, na którego wybrałem Emade, mieliśmy robić ich ostateczne wersje. Wszyscy się zgodzili z wyjątkiem Janka, który powiedział, że sam wyprodukuje swoje piosenki, bo to on wie, jak najlepiej to zrobić. Kiedy oznajmiłem mu, że nie ustąpię – stwierdził, że wycofuje swoje piosenki. To przelało czarę goryczy i ostatecznie zwolniłem go, a do zespołu wrócił Majcher. Na koncertach od razu pojawiła się fajna chemia, bo Perkoz lubi się z nim, a z Jankiem za sobą nie przepadali. Wtedy zorientowałem się, że mam aż 14 numerów zrobionych z Perkozem i da się z tego zbudować całą nową płytę. Może bardziej alternatywną, bez takiego hitu, jak „Pochodnia', który napisał Janek przy „Hau, hau!", ale nie zawsze musimy przecież walczyć o „złote kalesony".

Większość albumu to nowoczesny rock and roll, ale jak zawsze w przypadku T.Love, zakorzeniony w The Rolling Stones czy The Clash. Co cię fascynuje w tych brzmieniach?
Perkoz jest zaj…tym gitarzystą i ma swój własny rasowy sound. Ale zupełnie inaczej podchodzi do komponowania. Jest bardziej artystowski, może trochę niechlujny. I bardzo mi to spasowało. Robiliśmy więc ten materiał na zdrowej i lekkiej wyjebce. Większość wokali nagrałem w domu Perkoza, w studiu tylko dokonałem kilku poprawek. Minął kwiecień i maj zeszłego roku – i płyta była gotowa. Dawno nie zrobiłem żadnego albumu tak bezwysiłkowo. Wszystko wyszło więc na fajnym luzie.

Jest też jednak na „Orajt" miejsce na popową nutę – choćby w „Mimo wszystko" z Sarsą. Skąd taki pomysł?
Kiedy myśleliśmy o pierwszym singlu, który dałby ludziom sygnał, że zespół nadal działa, stwierdziliśmy, że dobrze by było, gdyby udało się stworzyć coś bardziej mainstreamowego. I wtedy Perkoz wymyślił piosenkę, która skojarzyła mi się z francuską piosenką w stylu Serge'a Gainsbourga. Byłem wtedy akurat na wakacjach i on zasugerował, żebym coś napisał o tej Sycylii. Wykombinowaliśmy więc ten tekst wspólnie i kiedy wróciłem, stwierdziłem, że to musi być duet, bo zwracam się w tym tekście do kobiety. Zacząłem więc z managementem poszukiwać kogoś do zaśpiewania. Nie było to jednak proste. Pewnego razu, jadąc samochodem, przelatywaliśmy przez te komercyjne radia i nagle zaciekawiła mnie barwa głosu wokalistki z jednej z piosenek. Okazało się, że to Sarsa. Ona jakoś kojarzyła mi się z obciachem, ale menedżer powiedział, że ostatnio zmieniła styl wykonywanej muzyki i to fajny alternatywny pop. Posłuchałem jej płyt i spodobało mi się, że nie udaje Mariah Carey czy Whitney Houston, tylko śpiewa po swojemu. Złożyliśmy więc jej propozycję, a ona bardzo się ucieszyła. Tak powstał utwór „Mimo wszystko", który jednak nie spodobał się części fanów, bo uznali go za bardzo „cukierkowy". Ale T.Love nie takie mury już burzył, mamy za sobą wiele duetów, więc jakoś specjalnie się tym nie przejąłem.

Mimo energetycznej muzyki, w tekstach kreślisz dosyć mroczną wizję współczesnego świata – choćby w tytułowym „Orajt" czy „Tottolotto".
W piosenkach T.Love czasem bywa tak, że lubię jechać na kontraście: muzyka wesoła, tekst mroczny. Nie jest to regułą, ale tak się zdarza. Tak jest i tutaj w kilku utworach. Pierwszy tekst powstał po tym, jak jechałem taksówką i taksiarz mówi: „Panie, lepsze czasy to już były". I sparafrazowałem to w „Orajt". Ale wiadomo – powody są. Płyta była pisana już po tym, jak Putin zaczął swe piekielne poczynania w Ukrainie. No a teraz to już mamy piekło po dwóch stronach. Tutaj rosyjskie antychrysty, a tam świr, który śpi na dolarach i nie wiadomo komu służy.

Śpiewasz w „Orajt": „W obliczu końca nic nie jest ważne już". To, co dzieje się dziś na świecie, postrzegasz jako „czas Apokalipsy"?
Jesteśmy z tego samego pokolenia i nasz najlepszy czas przypadł na lata 90. Komuna się skończyła, ludzie zaczęli lepiej zarabiać, zakładali własne biznesy. Potem weszliśmy do Unii Europejskiej i otworzył się przed nami cały świat. Tak było i ze mną – wreszcie mogłem żyć z muzyki, kupiłem sobie mieszkanie, potem dom. Każdemu jakoś się wiodło. I nagle tąpnęło: najpierw ten cholerny wirus, a potem wojna w Ukrainie. Teraz awantura na całego na Bliskim Wschodzie. Nic więc dziwnego, że pojawił się lęk o jutro. Dlatego takie piosenki to nic innego, jak kolejna pocztówka T.Love ze współczesności.

KIEDYŚ SIĘGAŁEM PO RÓŻNE UŻYWKI, TERAZ SKUPIAM SIĘ NA TYM, CO MAM ZROBIĆ NA SCENIE I DAJĘ LUDZIOM STO PROCENT Z SIEBIE PRZEZ DWIE GODZINY

Ostro rozprawiasz się tutaj też z polskimi politykami w utworze „Poseł RP": „Polityka to show/ Dziś opera mydlana". Jesteś rozczarowany rządami Koalicji Obywatelskiej?
Patrzę tutaj na całość polskiej polityki. Lubię oglądać te wszystkie dysputy polityczne w telewizji i widzę, że ich uczestnicy wszyscy świetnie się mają. Niby są swoimi oponentami, ale znają się dobrze ze sobą i piją razem wódkę. Ich zawodem jest kłócić się ze sobą – i robią to nieustannie w mediach. Zobaczyłem ostatnio, jakie są zarobki posłów do Parlamentu Europejskiego i faktycznie jest o co się bić. Z pensjami posłów na Sejm nie jest gorzej. Każdy z polityków reprezentuje swoją partię i wchodzi w swoją rolę – musi kłócić się z kolegą z innej partii. Mając tego świadomość, właściwie jest mi dzisiaj wszystko jedno kto będzie rządził, byleby szły do przodu dwie najważniejsze sprawy: gospodarka i bezpieczeństwo. Żeby był mądry minister obrony narodowej i sensownie wydawał pieniądze na zbrojenia. Trzeba się więc przyzwyczaić, że będą w Polsce dwie główne siły polityczne, jak Republikanie i Demokraci w USA czy torysi i labourzyści w Anglii. Raz będzie więc rządzić PiS, a raz PO, może co jakiś czas ktoś do nich dołączy. Dlatego daleki jestem od wszelkiego zacietrzewienia. Uważam, że raz ktoś mówi mądrze z prawej strony, a drugi raz z lewej. Nie mam czegoś takiego, że Konfederacja to jacyś faszyści. Bez przesady – to są głupie schematy. Trzeba przede wszystkim patrzeć merytorycznie. Na kogo zagłosuję w najbliższych wyborach – nie wiem, bo to jeszcze daleko. Akurat na PiS nigdy nie głosowałem, co nie znaczy, że nienawidzę Kaczyńskiego.

O prezydencie śpiewasz: „Ten na białym koniu nowy narodu sternik/ Te same głupoty i te same pierdoły". Jak oceniasz poczynania Karola Nawrockiego?
Na pewno jest to postać kontrowersyjna. Co by nie powiedzieć o Kaczyńskim, to trzeba mu przyznać, że ma politycznego nosa. Najpierw wyjął Dudę z kapelusza, a potem Nawrockiego. Ja myślałem, że Rafaś go pobije, bo teraz w polityce jest tendencja liberalno-lewicowa, a jednak okazało się, że to Karolek pyknął. No i cóż: prezydent to prezydent i chcę czy nie to muszę go zaakceptować jako obywatel Polski. Przecież został demokratycznie wybrany, a nie jak w Korei Północnej. Na razie Nawrocki ani mi ultra nie podpadł, ani ultra nie zaplusował. Obserwuję go. Na pewno trzeba mu przyznać, że się szybko wyrabia. Na początku myślałem, że to jakiś muł. „Co ten Kaczor wymyślił? Jakiegoś boksera od gangusów?" – pytałem się sam siebie. Tymczasem okazuje się, że Nawrocki wypowiada się poprawną polszczyzną, ma odpowiednią mowę ciała, dobrze się prezentuje. Nie mówię, że się w nim zakochałem, ale przyznam, że jestem zaskoczony tym, jak wypada podczas publicznych wystąpień. Na pewno nie ma we mnie do niego jakiejś nienawiści.

Jesienią zeszłego roku sam stałeś się ofiarą wojny polsko-polskiej, kiedy udzieliłeś wywiadu w TV Republika. Media rozpętały wokół tego istną burzę w internecie. Wkurzyło cię to?
Kiedyś wziąłem udział w spotkaniu w kościele na Mokotowie z młodzieżą ze szkoły muzycznej na Bednarskiej. Opowiadałem o jasnych i ciemnych stronach showbiznesu. Po wszystkim podeszła do mnie jakaś kobieta i mówi: „Panie Muńku, czy przyszedłby pan do programu mojej przyjaciółki Ani Popek w TV Republika porozmawiać o papieżu?". „No nie wiem, ta stacja ma złą opinię. Ja akurat jej nie oglądam" – odparłem. „Ale to nie będzie polityczny program, tylko śniadaniówka. Powie pan tylko parę słów, że jest pan wierzący" – ona naciska. „No dobrze" – zgodziłem się w końcu. Poszedłem więc, faktycznie rozmowa nie była o polityce, program poszedł. Minął tydzień, a tu nagle o świcie dzwoni do mnie menedżer. „Czy ty wiesz co się dzieje?" – mówi. „Co takiego? Putin jest już pod Warszawą?" – pytam. A on to: „Zygmunt, coś ty narobił! Byłeś w TV Republika i cały internet o tym huczy! Onet, nie Onet, zobacz na reakcję fanów!". Spojrzałem więc do internetu i przeraziłem się. Nigdy wcześniej taki hejt mnie nie dotknął. No ale faktycznie – obejrzałem potem tę Republikę i okazało się, że nie jest to telewizja na przyzwoitym poziomie, a do tego ultraprawicowy beton. „Nie powinno mnie tam być" – przyznałem. Pod kątem PR-u, był to więc strzał w kolano.

Najpierw afera wokół zwolnienia z zespołu znanych muzyków, potem hejt za występ w prawicowej telewizji. Miniona jesień i zima nie były więc dla ciebie łatwe pod względem psychicznym?
Jestem stary byk i nie z jednego pieca chleb jadłem, ale czegoś takiego nigdy nie doświadczyłem. Wcześniej oglądałem programy telewizyjne o młodych ludziach, którzy popełniają samobójstwa w wyniku internetowego hejtu i wydawało mi się to niewiarygodne. I nagle po tym wszystkim mówię do żony: „Wiesz co Marta, mam poważnego doła. Czuję się zaszczuty". Bo ludzie wypisywali straszne rzeczy w rodzaju „Byłem twoim fanem. Słuchałem cię od liceum. Teraz nigdy więcej nie kupię twojej płyty" czy „Ty pisowska kur…o. Oddaję bilet na twój koncert". Bardzo mnie to zabolało. Może jednak dobrze się stało – bo zobaczyłem na czym polega ten hejt. Nasz basista Nazim powiedział mi niedawno: „Wydajemy tę nową płytę w złym momencie. Ale musimy to przetrwać". I to prawda - w biografii zespołów przecież różnie bywało. Dołączył do nas nowy perkusista Olek Orłowski, są nowe piosenki, mamy więc świeżą energię.

Pociechą jest dla ciebie w takich trudnych chwilach poza muzyką na pewno rodzina. Od niedawna masz przecież wnuczkę Romę. Jak się czujesz w roli dziadka?
Super. Wcześniej mówił mi to Kazik czy moi kumple z Częstochowy: „Zobaczysz, zwariujesz". I to prawda. Cóż – jak mówi stare porzekadło, wnuki są po to, żeby je rozpieszczać. Roma będzie miała 22 marca dwa latka, zaczyna już mówić, jest super dziewczynką. Moja córka wyszła za Włocha, więc mieszają się w niej te geny i na pewno będzie dwujęzyczna.

Twój tata zdążył doczekać narodzin prawnuczki?
Niestety, nie. Ale jest prababcia. Moja mama ma 86 lat i dobrze się trzyma.

Jest się więc z czego cieszyć.
Pewnie. Przede wszystkim z tego, że wróciłem do zdrowia i mogę dawać koncerty. Kiedyś sięgałem po różne używki, teraz skupiam się na tym, co mam zrobić na scenie i daję ludziom sto procent z siebie przez dwie godziny. A potem wracam do hotelu i zasypiam grzecznie przy dobrej książce. Do tego nagraliśmy nową płytę, trochę bardziej alternatywną, która przypomina mi naszego „Antyidola". Wiadomo – chcielibyśmy, żeby się jak najlepiej sprzedała, ale jak będzie, tak będzie. Tytuł tego albumu – czyli „Orajt", jak ja to piszę do ludzi w SMS-ach – mówi: „Stary, trzymaj się! Liczy się tu i teraz! Bądź szczęśliwy mimo tego całego zła, które jest dookoła!". To nasze pozytywne przesłanie na trudne czasy.

eprasa.pl aa87686048

Polska
Piątek–niedziela, 27–29.03.2026

JUSTYNA SIEŃCZYŁŁO: „KAMIENICA" TO MÓJ DOM. I NAJTRUDNIEJSZA WALKA

Teatr Kamienica był spełnionym marzeniem Emiliana Kamińskiego, który odszedł ponad trzy lata temu. Dziś, 17 lat po otwarciu, Teatr Kamienica jest dla Justyny Sieńczyłło domem, zobowiązaniem i miejscem walki o przetrwanie

Anita Czupryn

27 marca Teatr Kamienica kończy 17 lat. Czym dziś jest dla Pani to miejsce?
To mój dom. W 2002 roku, kiedy rodziła się cała idea, byłam przerażona, ale znając determinację i upór Emiliana, wiedziałam, że jeśli on coś sobie postanowi, to choćby nie wiem co się działo, nie ma odwrotu. To był skok na głęboką wodę. Powiedział: „Zrobimy teatr w starych piwnicach". Na papierze wyglądało to pięknie, choć w rzeczywistości było koszmarem. Krysia Janda, jak zobaczyła to miejsce, najzwyczajniej uciekła, mówiła, że to jest pomysł irracjonalny. Nikt w to nie wierzył, tylko on. I od 17 lat ten teatr działa, przywrócił do życia zapomnianą, zrujnowaną kamienicę. Oficjalne otwarcie odbyło się w 2009 roku, choć pierwsze umowy z ZGN mamy datowane na 2002 rok. Czas pomiędzy to były lata zbierania funduszy i bardzo wymagającej budowy. O ile dobrze liczę, to w tym miejscu jesteśmy już prawie ćwierć wieku! Chcąc czy nie, to dom mój, moich dzieci, które się tu wychowały i pracują, ale też wszystkich pracowników i widzów – przed każdym spektaklem wybrzmiewa powitanie „Witamy w naszym domu, czyli Teatrze Kamienica". To miejsce zbudowane czasem, wysiłkiem, zdrowiem, latami wyrzeczeń wielu osób po to, by „służyć ludziom" – jak mawiał Emilian w ślad za księdzem Jerzym Popiełuszką.

Dom, o który trzeba ciągle walczyć?
Gdy zaczynaliśmy budowę, Miasto Stołeczne Warszawa gwarantowało nam prawo pierwokupu, które do dziś nie zostało spełnione, a gdy Emilian zrobił przy alei Solidarności 93 prawdziwą perełkę, tym adresem zaczęły interesować się różne grupy interesów. Dziś mój mąż nie żyje, nie żyje też nasz 36-letni prawnik Andrzej Leśniewski, który od 19. roku życia budował z nami ten teatr. Ja i Kajetan walczymy o to dziedzictwo – nie dla siebie, a dla pamięci o tych, którzy tworzyli to miejsce, dla ukochanych widzów, dla pracowników, którzy z miesiąca na miesiąc pytają mnie: „Pani Justynko, co dalej?", a ja niestety nie znam odpowiedzi na to pytanie... Każdy z nich ma rodziny, dzieci, kredyty; to jest blisko 300 rodzin, które utrzymują się z pracy w „Kamienicy". Jestem za nich odpowiedzialna, muszę więc walczyć o bezpieczeństwo tego miejsca.

Wróćmy do początków. Co takiego widział tu Emilian Kamiński wcześniej niż inni?
Dostrzegł wymarzony teatr, kiedy inni widzieli tylko podmokłe gruzy i szczury. Wielokrotnie wspominał, że kiedy stanął na tym dziedzińcu, to jego serce mocniej zabiło. Poczuł energię tego miejsca, uwierzył w sens nadania mu nowego życia, zapalił się do działania. Jeszcze tej samej nocy wyrysował plany przyszłego teatru.

Historia tego adresu zaczęła się dużo wcześniej niż historia teatru. Co to właściwie za kamienica?
To niezwykły, historyczny budynek, którego początki sięgają 1910 roku. Kamienica ta zaprojektowana została przez Dawida Landego w stylu secesji geometrycznej – była bardzo nowoczesna jak na tamte czasy. Piękne, duże mieszkania, eleganckie windy, oddzielne wejścia służbowe. Zbudował ją Michał Róg, człowiek, który dorobił się ogromnych pieniędzy na handlu skórami, był też mecenasem sztuki i współzałożycielem Teatru Polskiego. Miał też, niestety, ułańską fantazję, bo przegrał budynek na wyścigach konnych. Ale najbardziej porusza mnie to, że fundatorem kamienicy był człowiek, który kochał teatr, a dziś właśnie w tym budynku działa nasza scena. Historia zatoczyła koło.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Justyna Sieńczyłło: Nasze działania wynikają z czystej miłości do Warszawy i Warszawiaków. I to jest sens miejsca stworzonego przez Emiliana

Miejsce – fragment pamięci Warszawy?
Codziennie kłaniamy się historii tego miasta. O tę pamięć prosiła nas pani Paulina Edelman, jedyna ocalała mieszkanka tej kamienicy żydowskiego pochodzenia, z którą w czasie budowy teatru się spotkaliśmy. Przeszła pięć obozów. Wszyscy ludzie stąd, czyli z przedwojennego adresu Leszno 13, zginęli. Pani Paulina prosiła, żebyśmy pamiętali o przeszłości tego miejsca i losach jego mieszkańców. Przez lata odkrywaliśmy z Emilianem karty historii tych piwnic. Okazało się, że to tędy Irena Sendlerowa przerzucała dzieci z getta, tu był też punkt opatrunkowy Armii Krajowej w czasie Powstania Warszawskiego. Właśnie dlatego tu stworzyliśmy makietę Warszawy z sierpnia '39 o powierzchni 30 mkw.; tego nie ma żadne muzeum. Przed teatrem stoi zabytkowy tramwaj Barlinka, są tu też pamiątki po największych postaciach polskiej sceny. Nasze działania wynikają z czystej miłości do Warszawy i Warszawiaków. I to nie jest tylko dodatek do repertuaru, a sens miejsca stworzonego przez Emiliana.

EMILIAN WIELOKROTNIE WSPOMINAŁ, ŻE KIEDY STANĄŁ NA TYM DZIEDZIŃCU, TO JEGO SERCE MOCNIEJ ZABIŁO. POCZUŁ ENERGIĘ TEGO MIEJSCA

Pamięta Pani pierwszy wieczór, kiedy otworzył się Teatr Kamienica?
Oczywiście! Poprzedniego dnia, przed Międzynarodowym Dniem Teatru, na małej scenie, która już działała, odbyła się konferencja prasowa, po której zaprowadziliśmy przedstawicieli mediów na dużą scenę. Dziennikarze mówili: „No nie! Dużej sceny nie otworzycie. Chodzi wam o małą?". A my mówiliśmy: „Nie, jutro otwieramy teatr". Całą noc pracowaliśmy, na czworakach sprzątaliśmy, przygotowywaliśmy każdy szczegół i udało się. To była prawdziwa magia teatru. Otwarcie było mieszaniną wielkich emocji – radości z realizacji marzenia i obaw, że jeszcze tyle jest do zrobienia. Mieliśmy jednak poczucie sprawczości, dziś natomiast czujemy absolutną bezsilność...

Przez te 17 lat był choć jeden moment, kiedy mogliście poczuć się tutaj naprawdę bezpiecznie?
Od 2012 roku nie było chwili spokoju. Zawsze trzeba było walczyć o to miejsce, tylko nie mówiliśmy o tym głośno. To nie jest konflikt, który zaczął się wczoraj, tylko trwa od lat. W 2012 roku pojawił się „biznesmen", któremu ówczesny zarząd wspólnoty sprzedał strychy za przysłowiową złotówkę i obiecane remonty,

eprasa.pl aa87686048

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Justyna Sieńczyłło: Wysłałam listy do wszystkich decydentów w Polsce, prosząc o pomoc. Czekam, wciąż czekam na odpowiedź

do których nigdy nie doszło. Biznesmen na strychach zarejestrował 8 fikcyjnych spółek, którymi zdobył dodatkowe głosy we wspólnocie. Zaczął przegłosowywać uchwały, a pierwszą z nich była eksmisja teatru. Wyrok śmierci na nasz teatr zawiera się w obcojęzycznych nazwach spółek, które w tłumaczeniu brzmią: NIENAWIDZĘ AKTORA ZNISZCZĘ TEATR ZEMSTA. To był początek brutalnej i bezwzględnej walki o ten adres. Żeby zabezpieczyć teatr, staraliśmy się o wykup choćby fragmentu przestrzeni, co przecież gwarantowało nam prawo pierwokupu, gdy inwestowaliśmy w ten adres. Niestety, miasto Warszawa za każdym razem ignorowało nasze pisma, prośby, rozmowy. Po śmierci Emiliana razem z Kajetanem postanowiliśmy walczyć o dziedzictwo naszego męża i ojca, ostatecznie miasto po latach zgodziło się na sprzedaż 350 mkw., gdzie znajdują się toalety i foyer teatru. Mieliśmy już podpisaną umowę przedwstępną, ale żona człowieka, który w imieniu wspólnoty sprzedawał strychy wspomnianemu biznesmenowi, wyszła z propozycją, że to ona wykupi piwnice i będzie je wynajmować różnym podmiotom. Później ta pani zaskarżyła umowę, a miasto ostatecznie rakiem wycofało się ze sprzedaży. I wciąż milczy, kiedy pytamy o plany na ten adres, a przecież 78 procent własności kamienicy należy właśnie do Miasta Stołecznego Warszawy. Niepokojące są jednak wszystkie okoliczności, choćby pustostany. Na 46 lokali w tym budynku zamieszkałych jest jedynie 16, a 30 pięknych mieszkań o powierzchni nawet do 200 mkw. stoi pustych i niszczeje. Cały czas pytam, jaki jest plan miasta wobec tych pustostanów, i nie dostaję odpowiedzi. Proponowałam różne rozwiązania: mieszkania dla policjantów, dla strażaków, socjalne, społeczne dla osób z niepełnosprawnościami, fundacje etc. Odpowiedzi nie ma, a to przecież niezwykle atrakcyjny adres – świetna lokalizacja, tuż za ratuszem, bez spadkobierców, z ogromnym potencjałem. O ten adres i te puste metry kwadratowe w moim odczuciu toczy się gra.

Kiedy ta walka weszła w najostrzejszą fazę?
Śmierć Emiliana stała się okazją dla pewnej grupy interesów, a to, że niemal doszło do wykupu przez nas wspomnianych 350 mkw., uruchomiło falę ataków. W ubiegłym roku zaczęto forsować na ten adres firmę administrującą znaną z głośnych adresów reprywatyzacyjnych, jak Marszałkowska 66 czy Poznańska 14. W jednej gazecie, spod pióra jednego autora, pojawiła się seria artykułów szkalujących teatr. Pani, która oferowała, że sama wykupi piwnice, wysłała do wszystkich naszych partnerów i współpracowników pisma dyskredytujące teatr, Emiliana i mnie. Obecnie potrzebny jest remont węzła ciepłowniczego; naczelnik dzielnicy Śródmieście forsuje opcję kosztującą 900 tysięcy, która z założenia ma rozpruć teatr, choć jest inne rozwiązanie, trzykrotnie tańsze i bez potrzeby wjeżdżania ciężkim sprzętem do foyer. Dostałam telefon od osoby z branży budowlanej, że poszukiwany jest wykonawca, który się pod tym podpisze. Powiedział mi: „Nie możesz do tego dopuścić, jak już wejdą z budową do piwnic, to nie wyjdą. Zniszczą ci teatr". Prowadzony jest również atak na finanse teatru. Wspólnota uchwaliła, że chce od nas tysiąc złotych za każde przejście widzów przez dziedziniec, i to nie tylko przy komercyjnych spektaklach, ale także przy wydarzeniach dla dzieci, młodzieży czy akcjach charytatywnych. To około 550 tysięcy rocznie, osobna jest stawka za zadaszenie wejścia czy wywieszenie afiszu teatralnego. A my utrzymujemy się wyłącznie z biletów. Jeżeli nałoży się na teatr takie obciążenia, to on po prostu umrze. Dziś płacimy miastu około 65 tysięcy złotych miesięcznie za najem, a z opłatami dla wspólnoty wychodzi około 70 tysięcy. Mam głębokie przekonanie, że gdyby uczciwie policzyć, to okazałoby się, że to właśnie teatr utrzymuje tę kamienicę. Bez teatru wspólnota sama nie udźwignęłaby tego miejsca, ale może o to chodzi. Do tego dochodzi jeszcze jedno: do końca czerwca musi zostać zamknięty plan zagospodarowania Śródmieścia. I w moim odczuciu to także zwiększa dziś nacisk na to miejsce. Ale dla mnie Teatr Kamienica to jest zobowiązanie, które podjęliśmy wraz z Kajetanem. Emilian tuż przed śmiercią prosił tylko o jedno: żebyśmy walczyli o „Kamienicę". I tylko na tym mu zależało.

Trudny testament zostawił pan Emilian...
Nie spodziewałam się, że aż tak trudny. Myślę, że on sam nie zdawał sobie sprawy, z czym nas zostawia. Za bardzo ufaliśmy ludziom, urzędnikom. Teraz Kajetan, który skończył kryminologię, otwiera mi oczy na pewne rzeczy, cały mechanizm, plan... Pilnując pamięci o Emilianie, muszę jednocześnie utrzymać ideę tego teatru, walczyć o jego istnienie, dbać o zespół, rozmawiać z urzędami, myśleć o prawnikach, o finansach, o wszystkim. Nie dałabym rady, gdybym nie miała pomocy syna.

Co było najtrudniejsze: żałoba, samotność czy odpowiedzialność za ludzi i miejsce?
Wszystko. Odpowiedzialność za ludzi, za miejsce. Aktorki, aktorzy, technicy, realizatorzy, pracownicy administracyjni – to nasza rodzina, niektórzy pracują tu od 17, od 20 lat. Widzów też nie mogę zawieźć. „Nie poddawajcie się, my chcemy, żeby ten teatr istniał" – ciągle to słyszę. Przychodzą też do mnie inni mieszkańcy kamienic z podobnymi problemami. Wczoraj przed kasą przytuliła mnie pani, której nowy właściciel budynku odciął dopływ wody, i ze łzami w oczach powiedziała: „Pani Justynko, błagam, niech pani walczy. Jeśli wy, tacy głośni, medialni, się poddacie, to i dla mnie już nie ma nadziei". Więc muszę, choć boli to, że stworzyliśmy „najbardziej warszawski z warszawskich teatrów", z misją, działalnością charytatywną, edukacyjną, społeczną; prowadzimy warsztaty, festiwale, pracujemy z osobami z niepełnosprawnościami, a to dla niektórych nic nie znaczy. Wysłałam listy do wszystkich decydentów w Polsce, prosząc o pomoc. Czekam, wciąż czekam na odpowiedź.

Kim Pani dzisiaj jest w Teatrze Kamienica: aktorką, dyrektorką? Wojowniczką?
Dobre pytanie. Chyba wszystkim po trochu. Przypomniał mi się żart Emiliana; co jak co, on w tych najgorszych momentach ratował wszystko śmiechem. Dowcip opowiadał o dwóch góralach, którzy wracali z herbatki z prądem i jeden spadł w przepaść. Ten z góry krzyczał do niego: „Józek, ręce mosz?" – „Mom" – odpowiedział ten spadający. – „A nogi mosz?" – „Mom" – usłyszał w odpowiedzi. – „A będziesz żył? – „Nie wiem, jeszcze lece!". To chyba coś o mnie.

TEATR MNIE NIESIE. WIDZOWIE. SĄ ICH TŁUMY. LUDZIE ZACZEPIAJĄ MNIE W CAŁEJ POLSCE, TRZYMAJĄ KCIUKI ZA NAS. KAŻDE WYJŚCIE NA SCENĘ JEST JAK TERAPIA

Skąd bierze Pani siłę?
Nie wiem. Może z genów, może z przyjaciół, może z tych ludzi, którzy tworzyli z nami to miejsce. Może z mojego męża, z pamięci o tych wszystkich nazwiskach, które tworzyły Warszawę. Jesteśmy teatrem, który pamięta. Ogromną siłę daje mi też syn. To on uczy mnie odwagi na co dzień. Żebym nie chowała się za myśleniem: „Jakoś to będzie". Żebym działała. On jest też moją tarczą.

Ta walka Panią zmieniła?
Tak. Mąż nauczył mnie, że nie ma rzeczy niemożliwych. Syn uczy mnie, że co trzeba zrobić jutro, zrób dzisiaj. „Kamienica" nauczyła mnie, że jeśli coś się bardzo kocha, jeśli tyle osób włożyło w to miejsce wysiłek, własną krew i serce, to nie można odpuszczać. Przez te 17 lat działalności teatru stworzyła się też ogromna więź między ludźmi. To już nie jest tylko zespół zawodowy, to jest wspólnota. Nie walczy się o abstrakcyjną ideę ani o adres, tylko o bardzo konkretnych ludzi. O ich bezpieczeństwo, o ich życie, o możliwość dalszej pracy. Dlatego to jest takie ciężkie. Bo jeśli coś się stanie z tym teatrem, to nie tylko runie miejsce – runie też świat bardzo wielu ludzi.

Co Panią dziś niesie?
Teatr mnie niesie. Widzowie. Są ich tłumy. Ludzie zaczepiają mnie w całej Polsce, trzymają kciuki za nas. Sama też kocham to, co robię. Każde wyjście na scenę jest jak terapia, bo zapominam o problemach.

Co „Kamienica" daje publiczności, czego nie da się dostać gdzie indziej?
Mądrą rozrywkę. Taką, która ma refleksję, nie jest tylko śmiechem dla samego śmiechu. Taką, która dotyczy nas samych – relacji, rodzin, współczesności. Zapalamy słońce, dajemy ludziom siłę, budzimy chęć do życia. Robimy teatr, który dotyka naszych potrzeb, pragnień, tęsknot. Ostatnie lata to pisane specjalnie dla „Kamienicy" współczesne dramaturgie polskich autorów – to nasza duma. Poruszamy najtrudniejsze tematy: samobójstwa młodych ludzi, prostytucję, narkomanię, hejt w internecie, śmierć onkologiczną. Dla najmłodszych robimy rzeczy o sile wewnętrznej, o akceptacji siebie, o tym, że można być innym i nadal kochać siebie. To nasza misja. To jest budowanie odporności społecznej. „Kamienica" daje radość, leczy duszę, uczy, edukuje, daje siłę. To więcej niż teatr.

Czego chciałaby Pani dla „Kamienicy" na jej osiemnaste urodziny?
Spokoju i bezpieczeństwa. Chcemy uczciwie pracować.

eprasa.pl aa87686048

Polska
Piątek–niedziela, 27–29.03.2026

JUŻ W SZKOLNYCH LATACH WIDZIELI W NIM KARDYNAŁA

W sobotę odbędzie się ingres do łódzkiej archikatedry kardynała Konrada Krajewskiego. Zostanie ósmym ordynariuszem diecezji i pierwszym rodowitym łodzianinem na tym stanowisku. Od dawna jest głośną postacią w Kościele, ale głównie za sprawą swoich niekonwencjonalnych przedsięwzięć w Watykanie, gdzie spędził wiele lat. Lubi zaskakiwać, pytanie tylko, czym zaskoczy wiernych w Łodzi i biskupów w Episkopacie Polski

Anna Gronczewska

Kardynał Konrad Krajewski wraca do swego rodzinnego miasta po niemal 30 latach pracy w Watykanie. Był tam ceremoniarzem, a ostatnio jałmużnikiem papieskim. W 2013 roku otrzymał nominację biskupią, a pięć lat później kardynalską. Mimo że od lat nie mieszkał w Łodzi, nie ukrywał swej miłości do rodzinnego miasta. Internet obiegł filmik z łódzkiej pielgrzymki na Jasną Górę, gdzie kardynał śpiewał walczyk o Łodzi.

Czym innym zaskakiwał w Watykanie. Kiedy został jałmużnikiem papieskim, oddał swe mieszkanie w Watykanie uchodźcom z Syrii, a sam zamieszkał w biurze. Pojechał odwiedzić uchodźców na wyspę Lampedusę. Na audiencjach u papieża pojawiał się w towarzystwie bezdomnych. Jeździł z transportami humanitarnymi do ogarniętej wojną Ukrainy.

Chłopak z Marysina

Konrad Krajewski urodził się 25 listopada 1963 roku w Łodzi. Razem z rodzicami i starszym o dwa lata bratem Krzysztofem mieszkał przy ul. Centralnej. Zajmowali służbowe mieszkanie w Szkole Podstawowej nr 120 na łódzkim Marysinie. Konrad był jej uczniem.

- Państwo Krajewscy byli nauczycielami – wyjaśniał nam bliski znajomy kardynała z młodzieńczych lat. - O ile pamiętam, to potem mama Konrada zaczęła pracować na Politechnice Łódzkiej. Zajmowała się fotografią techniczną.

Po skończeniu szkoły podstawowej Konrad marzył, by tak jak jego brat, zacząć naukę w XII LO w Łodzi. Nie udało mu się. Powodem nie były jednak złe oceny.

- Mieliśmy tam chodzić razem – wspomina kolega kardynała. - Niestety, przed naborem do liceów wprowadzono rejonizację. Ja dostałem się do „dwunastki", bo byłem olimpijczykiem. Konrad musiał wybrać inne liceum.

Tą szkołą było nieistniejące już XXVIII LO im. Władysława Broniewskiego. Oprócz Konrada Krajewskiego jego absolwentami byli między innymi Tatiana Okupnik, aktor Bronisław Wrocławski czy aktorka Iwona Bielska. Nauczyciele bardzo dobrze jeszcze dziś wspominają ucznia Krajewskiego. Dobrze się uczył, nie sprawiał kłopotów. Niektórzy już wtedy dostrzegli jego wyjątkową osobowość. Nie było specjalnego zaskoczenia, gdy dowiedzieli się, że po maturze chce iść do łódzkiego Wyższego Seminarium Duchownego.

- Gdy usłyszał o tym jego wychowawca, nauczyciel chemii, to powiedział, że nie będzie to zwykła droga kościelna, widzi przed nim wielką przyszłość – wspominał jeden z licealnych kolegów kardynała Konrada Krajewskiego. - A nie był to człowiek związany z Kościołem, tylko rasowy pedagog, który potrafił dostrzec wiele rzeczy.

Kolega kardynała Konrada opowiadał, że już wtedy się wyróżniał.

- Nawet jako młody chłopak nie był tuzinkowym człowiekiem – zapewniał. - Konsekwentnie dążący do powierzonych mu celów lub ideałów, które sam sobie wyznaczył. Nie należał do ludzi, którzy mówili jedno, a robili co innego. Nie był zakłamany. Maksymalnie skrupulatny w różnych sprawach. Jako nastolatkowie często dyskutowaliśmy. Nie zawsze mieliśmy jednakowe poglądy na różne sprawy, ale nie dochodziło z tego powodu do kłótni.

Odwiedzał Konrada w jego domu. Znał dobrze jego rodziców.

- Byli to młodzi ludzie, którzy wcześnie zostali rodzicami – wyjaśniał. - Ojciec był człowiekiem zasadniczym, trzymającym w domu dyscyplinę, a jednocześnie bardzo troskliwym, kontaktowym. Gdy odwiedzałem Konrada, to zawsze z nim miło rozmawiałem. Nie tworzył dystansu. Natomiast mama była ciepła, bardzo sympatyczna. Nie „trzęsła się" nad synami...

FOT. GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

Po 30 latach w Watykanie kardynał Krajewski wraca do Łodzi

Starszy brat Krzysztof po maturze, którą zdał w XII LO, dostał się do Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi. Po jej skończeniu otrzymał przydział do jednej z jednostek na Wybrzeżu. Ożenił się, urodziła się mu córka. Nadszedł 1989 rok.

- Pełnił służbę na jednym ze statków czy kutrów – mówi kolega Konrada Krajewskiego. - Zmarł nagle, podczas snu. Miał 29 lat.

Główny ceremoniarz

Konrad Krajewski był już wtedy księdzem. Święcenia kapłańskie przyjął 11 czerwca 1988 roku z rąk arcybiskupa Władysława Ziółka, ówczesnego ordynariusza diecezji łódzkiej.

Po święceniach kapłańskich ks. Konrad Krajewski był wikariuszem w parafii w Ruścu pod Bełchatowem i parafii Matki Bożej Nieustającej Pomocy w Łodzi. Potem został prefektem w łódzkim seminarium duchownym, a następnie wyjechał do Rzymu.

Ksiądz Piotr Turek, proboszcz parafii św. Anny, studiował w Wyższym Seminarium Duchownym w Łodzi na jednym roku z Konradem Krajewskim. Zapamiętał, że był bardzo uczynnym kolegą.

- Gdy przyszedł do seminarium, grał na gitarze, ale zaczął się uczyć gry na organach – wspomina ks. Turek.- Pod koniec seminarium już grał podczas mszy św. W seminarium został głównym ceremoniarzem.

Kardynał Krajewski mieszkał na terenie łódzkiej parafii Opatrzności Bożej. Był bardzo związany z ruchem oazowym. Kilkadziesiąt lat temu w jego parafii odbywały się rekolekcje ewangelizacyjne według pomysłu księdza Franciszka Blachnickiego, założyciela ruchu oazowego.

- Wiem, że te rekolekcje zrobiły na nim duże wrażenie – mówił kolega kardynała. - Kończył ósmą klasę, gdy zdecydował się pojechać na Oazę.

Kolega z parafii wspomina natomiast, że po powrocie z tych wakacyjnych rekolekcji oazowych bardzo zaangażował się w życie parafii.

- Razem z Jarkiem Kalińskim, rok starszym kolegą, który też uczył się w XXVIII LO i został księdzem, dziś jest proboszczem łódzkiej parafii katedralnej w Łodzi, bardzo zaangażowali się w służbę liturgiczną – opowiadał kolega kardynała. - Byli lektorami. Konrad pięknie czytał Pismo Święte. Był świetnym ceremoniarzem. Angażował się w to całym sercem. Gdy po latach widziałem go jako ceremoniarza papieskiego, to przypominałem sobie tego Konrada z parafii Opatrzności Bożej, który też wszystko robił z ogromnym zaangażowaniem.

W 1993 roku zmarł tata kardynała. Mama umarła w pierwszej dekadzie lat dwutysięcznych.

Zawsze pod prąd

Mimo że upłynęło wiele lat od wyjazdu ks. Krajewskiego z rodzinnego miasta, znajomi widzą w nim dalej Konrada z Łodzi. Choć on sam przyznawał, że zmienił swoje spojrzenie na kapłaństwo po śmierci Jana Pawła II.

- Napisał o tym w artykule w „L'Osservatore Romano" - przypomina kolega kardynała. - Przyznał, że jest uczniem Jana Pawła II. Konrad zawsze potrafił i potrafi iść pod prąd. Trzyma się tego, co słuszne.

Sam lubi zaskakiwać. Podczas jednej z wizyt w Łodzi odwiedził niespodziewanie dominikanów, którzy opiekują się łódzką parafią Podwyższenia Krzyża Świętego. Po mszy św. poszedł na Zielony Rynek, kupił pasztetową, bułki i chleb. Potem zjadł z dominikanami śniadanie.

Kiedy przyjechał do Krakowa na pogrzeb kardynała Mariana Jaworskiego, przyjaciela i spowiednika świętego Jana Pawła II, nie nocował w hotelu czy pokojach gościnnych krakowskiej kurii, a w przytulisku dla osób bezdomnych i ubogich prowadzonym przez braci albertynów. Zaapelował też do dostojników kościelnych, by w związku z pandemią oddali po jednej własnej pensji dla potrzebujących.

O księdzu z Łodzi było głośno, gdy wbrew prawu podłączył prąd ponad 400 bezdomnym, którzy mieszkali w opuszczonej kamienicy w centrum Rzymu. Musiał złamać policyjne pieczęcie, które pojawiły się tam z powodu długu w wysokości 300 tys. euro za niezapłacone rachunki,

„Kardynał" z liceum

Znajomi kardynała twierdzą, że to właśnie formacja oazowa wywarła na niego wielki wpływ. Jest księdzem, człowiekiem, który żył i żyje Ewangelią. Znajomi już dawno mówili, że gdy wróci z Watykanu do Łodzi to tylko jako ordynariusz diecezji.

- Byłem przekonany, że zostanie biskupem, kardynałem – zapewnia jego kolega. - Kiedyś byliśmy razem na Oazie. Wtedy jedna z naszych koleżanek mówiła do niego żartem: ksiądz kardynał. A był dopiero po trzeciej klasie liceum.

Jak kardynał Krajewski zapisze swój nowy rozdział kościelnej kariery?

– Znaliśmy się jeszcze przed seminarium – mówi ks. Turek. – Wszyscy cieszymy się, że został ordynariuszem archidiecezji łódzkiej. Jest nasz, z Łodzi. Zna archidiecezję, księży. Wie jakie są potrzeby parafii, kapłanów, choć wiadomo, że po tak długim pobycie w Rzymie musi się wszystkiemu przyjrzeć, parafia nie jest równa parafii.

Tomasz Terlikowski, znany publicysta katolicki, twierdzi jednak, że tak naprawdę mało wiemy o kardynale Konradzie Krajewskim. Na przykład o jego poglądach.

- Niby wiemy o nim dużo, a tak naprawdę nic – wyjaśnia Tomasz Terlikowski.

Ksiądz kardynał przez wiele lat robił wszystko, by nie ujawniać swoich poglądów. Tomasz Terlikowski mówi, że na razie trudno powiedzieć, jakie będą rządy kardynała Krajewskiego w archidiecezji łódzkiej. - Niektórzy z moich znajomych księży z archidiecezji łódzkiej mają wątpliwości czy to będzie ten planowany zbawca Kościoła łódzkiego, ale zobaczymy jak będzie – dodaje Tomasz Terlikowski.

eprasa.pl aa87686048

„EKSTRADYCJA". EKRANOWE ODBICIE TAMTYCH LAT

To był serial, który przetarł szlaki, nazwijmy to, „policyjnym" produkcjom, powstającym dziś jak grzyby po deszczu. Wtedy jednak taka formuła stanowiła zupełną nowość, a przedstawione tutaj problemy były odzwierciedleniem ówczesnej sytuacji społeczno-politycznej w kraju. Minęło 30 lat od premiery pierwszego sezonu „Ekstradycji"

Wojciech Obremski

FOT. MAT.PRAS.

W rolę nieprzekupnego komisarza Olgierda Halskiego wcielił się Marek Kondrat

Minister spraw wewnętrznych: - Uratował pan honor kraju. Olgierd Halski: I wasze dupy. Ten dialog aż nadto obrazuje głównego bohatera serialu, jego osobowość i bezkompromisowość; komisarz Olgierd Halski to gliniarz z krwi i kości, niezwykle skuteczny, niestety, borykający się z problemami - jest alkoholikiem po rozwodzie, zaś jego córka Basia jest wychowywana przez jego siostrę. Halski, stosując swoje niekonwencjonalne metody, nierzadko podpada przełożonym (z podinspektorem Sawką na czele). Nie robi z tego problemu, odpowiadając im zazwyczaj z dozą obojętności czy cynizmu.

Komisarz tropi rosyjską mafię i handlarzy narkotyków, a przy okazji usiłuje walczyć z korupcją wśród wysokich urzędników państwowych. Bezpardonowe działania policjanta ściągają uwagę przestępców na jego najbliższych. Samotna walka Halskiego z bossami narkotykowymi, finansowymi przekrętami oraz wymuszeniami haraczy ukazywała prawdziwe nastroje społeczne lat dziewięćdziesiątych, kiedy, trzeba to przyznać, państwo było zbyt słabe, by skutecznie chronić swoich obywateli przed nową i brutalną rzeczywistością zorganizowanej przestępczości.

Scenariusz prosto z życia

Od pierwszego odcinka na ekranie dzieje się niemało. I nie chodzi tylko o wydumane „sceny akcji", które wypełniały dotychczas rodzime produkcje, wywołując u widza uśmieszek żenady lub wręcz salwy śmiechu. Owszem, w „Ekstradycji" nie brak klasycznych wybuchów samochodów (a nawet śmigłowca), profesjonalnych fabryk amfetaminy, handlu narkotykami na ogromną skalę czy walk gangów i wszechobecnej korupcji, również, a może przede wszystkim wśród stróżów prawa. Wszystko to podano jednak tym razem w otoczce zgrabnie skleconej fabuły - powstał serial ze świetnym tempem, które ani na chwilę nie pozwala znużyć się widzowi, zaś scenariusz „Ekstradycji" został dopracowany w najmniejszych szczegółach. - Czerpał on całymi garściami z polskiej rzeczywistości, która w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych gwałtownie się „zamerykanizowała" - czytamy na portalu Filmpolski.pl. I rzeczywiście, w serialu widać inspirację prawdziwymi wydarzeniami, których opisy królowały w tamtych czasach w gazetowych nagłówkach.

Co ciekawe, zanim „Ekstradycja" trafiła na szklane ekrany, była rozpowszechniana na kasetach wideo, zaś w wypożyczalniach stała się takim przebojem, że trzeba było prowadzić zapisy.

Zupełnie inna optyka

Na pomysł serialu wpadł (jego późniejszy scenarzysta) Witold Horwath, autor dość poczytnej kilka lat wcześniej książki „Święte wilki". Była to powieść z gatunku political fiction, a główną jej osią była kampania prezydencka Stana Tymińskiego. Wojciech Wójcik (mający na swoim koncie m.in. głośne „Karate po polsku") zamierzał książkę sfilmować, jednak nic z tego nie wyszło. Panowie nie zrezygnowali jednak ze swojej współpracy i tak powstał scenariusz „Ekstradycji", a potem gotowy serial. - Doszedłem do wniosku, że patrząc na naszą rzeczywistość, trzeba znaleźć zupełnie inną optykę niż proponowały to „Święte wilki". Nie roztrząsać, jak bronimy tego, co nazywamy demokracją - a co ja wciąż uważam za pseudodemokrację - ale zająć się tym, co ją nadwyręża. Łatwo przecież uszkodzić młody organizm, który jest dość bezbronny, jeszcze nie zdobył - że użyję medycznego terminu - sił odpornościowych. Jak więc zwalczać, atakujące go i narastające zło? A konkretnie w tym przypadku tzw. przestępczość zorganizowaną? - mówił W. Wójcik, cytowany w książce Bartka Koziczyńskiego „333 popkultowe rzeczy... lata 90.".

I ta muzyka!

Do roli Olgierda Halskiego początkowo typowano Krzysztofa Pieczyńskiego, ostatecznie w rolę nieprzekupnego komisarza wcielił się Marek Kondrat, który kilka lat wcześniej zagrał podobną postać w „Psach", i to nie tylko pod względem imienia głównego bohatera. Partnerują mu Małgorzata Pieczyńska, jako siostra komisarza, a także Renata Dancewicz (kochanka Halskiego), z którą Kondrat, mniej więcej w tym samym czasie, stworzył udany duet w „Pułkowniku Kwiatkowskim". Na ekranie widzimy również m.in. Krzysztofa Kolbergera jako szefa Urzędu Ochrony Państwa czy Witolda Dębickiego, wspomnianego przełożonego Halskiego. Zaś w narkotykowego bossa wcielił się... Lew Rywin. Serial powstawał m.in. na zamku w Oporowie i na komisariacie policji w Bedlnie, w województwie łódzkim. W pamięć zapada także główny temat muzyczny, skomponowany przez Jerzego Satanowskiego. Wielu też na pewno kojarzy piosenkę „Twoje miasto", kończącą odcinki sezonu trzeciego (o którym później) i śpiewaną przez Grzegorza Markowskiego oraz Liroya.

Halski nie tylko w serialu

Początkowo Telewizja Polska zamówiła cztery odcinki i skierowała je do realizacji. Efekt wyszedł obiecująco, toteż poproszono o jeszcze jedną część, do której scenariusz napisali Paweł Trzaska i Robert Brutter, pracownik Kancelarii Sejmu (późniejszy scenarzysta „Rodziny zastępczej" i „Rancza"). Ten epizod chronologicznie wyświetlono jako pierwszy, a potem dokręcono jeszcze jeden - powstał więc sześcioodcinkowy serial, którego emisję rozpoczęto 9 listopada 1995 roku. Od czasów PRL-u żadna rodzima produkcja telewizyjna nie spotkała się z takim aplauzem - podczas nadawania „Ekstradycji" ulice dosłownie pustoszały. Toteż nic dziwnego, że pomyślano o kontynuacji - pierwsza seria zakończyła się napisem „Śledztwo trwa...", a jednocześnie powstawały już zdjęcia do drugiego cyklu, który wszedł na ekrany w 1997 roku.

Co ciekawe, Marek Kondrat wcielił się w Olgierda Halskiego również w niemieckim filmie z 1996 roku „Reise in der Tod" („Podróż do śmierci"). Komisarz rozpracowuje tu sprawę zamachu bombowego w Krakowie, w którym ginie żona niemieckiego oficera policji.

„Czwórki" nie będzie

Wracając do drugiej serii „Ekstradycji": kręcono ją z większym rozmachem - za plenery posłużyły krajobrazy Helu, Zakopanego czy Mazur. Do dotychczasowej obsady dołączyli m.in. Janusz Gajos (szef mafii), Maria Pakulnis (rosyjska gangsterka), Jan Machulski (prezes banku), Olaf Lubaszenko (oficer UOP-u) czy Marian Opania (minister). Wzorem poprzedniego sezonu, kilka miesięcy przed premierą telewizyjną odcinki wydano na kasetach wideo. Seria ta różni się nieco od swojej poprzedniczki i mimo doborowego aktorstwa można odczuć wyraźne spowolnienie akcji.

- „Ekstradycja 2" bardziej przypomina tzw. czarne kryminały z ich pesymistycznym obrazem rzeczywistości, przeżartej nieopanowanym pragnieniem zysku, korupcją, obłudą, cynizmem i niesprawiedliwością - pisze portal Filmpolski.pl.

Dwa lata później powstała trzecia odsłona „Ekstradycji", przepełniona dość nietypowymi, żeby nie powiedzieć: absurdalnymi rozwiązaniami (podziemna baza pod Pałacem Kultury i Nauki czy 65-letni Henryk Bista w roli hakera). - Zanim została pokazana pierwsza część „Ekstradycji", na ulicach Warszawy zaczęły wybuchać bomby. Nikomu nie śniło się także, że rosyjski gangster zostanie wiceprezesem polskiego banku, co pokazaliśmy w „Ekstradycji 2". A jednak... Nabycie przez gangsterów Pałacu Kultury, o czym opowiadamy w ostatniej części, także może się wydać wymysłem scenarzystów, a przecież takie propozycje pojawiły się całkiem niedawno - tłumaczył się reżyser, podkreślając jednocześnie, że dalszego ciągu nie będzie. - Tego nie można już ciągnąć. Cała ekipa zrobiła się dla siebie zbyt przewidywalna. Musimy się rozstać, żeby móc jeszcze kiedyś ze sobą pracować - mówił Wojciech Wójcik.

Serial zamknięto na dwudziestu pięciu odcinkach. I być może dobrze się stało, że „Ekstradycja" nie stała się tasiemcem, dzięki czemu zyskała poczesne miejsce w panteonie najlepszych rodzimych seriali lat dziewięćdziesiątych.

eprasa.pl aa87686048

– Kiedyś wystarczyło nauczyć się jednego zawodu i wykonywać go przez całe życie. Dziś tempo zmian jest tak duże i tak nieprzewidywalne, że jedyną formą zabezpieczenia się na przyszłość wydaje się zdolność uczenia się i dostosowywania do nowych warunków – mówi Olgierd Borowiecki z Wydziału Filozofii i Kognitywistyki Uniwersytetu w Białymstoku

Magda Ciasnowska

KAŻDY UMYSŁ JEST INNY, CZYLI CO TAK NAPRAWDĘ SIEDZI W NASZYCH GŁOWACH

Co roku na Uniwersytecie w Białymstoku organizujecie imprezę pod hasłem Cyber Brain. Dlaczego warto mówić o tym, co siedzi w naszych głowach? I dlaczego osoby, które nie interesują się tym tematem, powinny zwrócić na niego uwagę?
Jeśli ktoś tego nie czuje, to raczej trudno będzie go do tego przekonać. Potrzebna jest pewna iskra ciekawości. Niestety, większość ludzi funkcjonuje trochę na autopilocie – między pracą, domem i codziennymi obowiązkami. Nie wiem też, na ile dziś w ogóle jest przestrzeń na takie refleksje, bo żyjemy w bardzo intensywnych czasach. Nasza dekada jest pod tym względem dość absurdalna. Przeżyliśmy pandemię, wojnę, kryzys ekonomiczny. Wiele rzeczy dzieje się jednocześnie i wszystko bardzo przyspiesza – także rozwój sztucznej inteligencji. Kognitywistyka, którą się zajmuję, jest trochę nauką o tym, jak się uczyć i funkcjonować w złożonym świecie. Czym jest „ja", czym jest model rzeczywistości i w jaki sposób go budować. W pewnym sensie można postawić znak równości między umysłem a modelem rzeczywistości, który potocznie nazywamy po prostu rzeczywistością. Kiedyś wystarczyło nauczyć się jednego zawodu i wykonywać go przez całe życie. Dziś tempo zmian jest tak duże i tak nieprzewidywalne, że jedyną formą zabezpieczenia się na przyszłość wydaje mi się zachowanie elastyczności poznawczej – czyli zdolność uczenia się i dostosowywania do nowych warunków. Dlatego wiedza o mechanizmach poznawczych, o błędach poznawczych, nad którymi można pracować, o uwarunkowaniach psychologicznych czy kulturowych związanych z modelowaniem rzeczywistości, jest bardzo ważna. Pomaga lepiej rozumieć innych ludzi i samego siebie. A także lepiej komunikować się z innymi. To szczególnie istotne dziś, kiedy coraz większą rolę odgrywa sztuczna inteligencja. Nie wiemy, jak świat będzie wyglądał za trzy czy pięć lat, ale wiemy, że będzie inny niż dziś. Jeśli ktoś ma w sobie iskrę refleksji, że warto byłoby zrobić coś dla siebie, istotne będzie odkrycie swojej własnej przyszłości i próba zrozumienia siebie w teraźniejszości, żeby kiedyś być w lepszej sytuacji niż teraz.

A jak to zrobić?
Uczyć się. Mam jednak wrażenie, że wciąż brakuje refleksji nad tym, że nauka trwa przez całe życie. W wielu systemach edukacji – nie tylko w Polsce – nauka bywa traktowana jak kara. Zabija się w ten sposób naturalną ciekawość świata. A przecież dzieci nieustannie pytają: dlaczego?, jak? Nie znamy odpowiedzi na najgłębsze pytania o rzeczywistość, ale to nie znaczy, że nie powinniśmy ich zadawać. Warto zachować ciekawość świata przez całe życie. Ma to także bardzo praktyczny wymiar. Mówi się o czymś takim jak rezerwa poznawcza, czyli pewien bufor chroniący mózg przed chorobami neurodegeneracyjnymi. Jedną z chorób cywilizacyjnych jest dziś demencja, czyli otępienie poznawcze. Jednym ze sposobów utrzymania sprawności umysłowej jest właśnie ciągłe uczenie się, refleksja i dostosowywanie się do nowych sytuacji. Kognitywistyka pokazuje też, jak bardzo złożony jest świat. Łączy takie dziedziny jak sztuczna inteligencja, psychologia, filozofia, antropologia, lingwistyka czy neurobiologia. Dzięki temu możemy patrzeć na świat z wielu perspektyw, zamiast upraszczać go do prostych schematów. Wystarczy na chwilę się zatrzymać, zastanowić. Ale to wymaga wysiłku. I tak jak z aktywnością fizyczną, tak samo jest z aktywnością umysłową – nikt inny tego wysiłku nie zrobi za ciebie. To twoja odpowiedzialność.

W kontekście sztucznej inteligencji pojawia się też pytanie, czy nieumiejętnie używana może osłabiać nasze myślenie. Czy nie idziemy trochę na łatwiznę?
Szczerze mówiąc nie mam tu jednej pewnej odpowiedzi. Z jednej strony można tak argumentować. Z drugiej strony podobne obawy pojawiały się już wcześniej, na przykład przy wynalezieniu pisma. Wtedy też mówiono, że skoro można coś zapisać, to ludzie przestaną pamiętać. Trudno jednoznacznie powiedzieć, czy to rzeczywiście ograniczyło nasze zdolności poznawcze. Być może w jakimś stopniu tak, bo wcześniej ogromną rolę odgrywała pamięć i opowiadanie historii. Była to podstawowa forma przekazywania wiedzy i odnajdywania się w społeczeństwie. Ze sztuczną inteligencją może być podobnie. Z jednej strony może nam coś zabrać, z drugiej – może też coś dać i uwolnić zasoby na inne rzeczy. Nie wiem tego i w pewnym sensie jest mi z tą niewiedzą komfortowo. Przyzwyczaiłem się do tego, że wielu rzeczy po prostu nie wiemy. Chociaż niewiedza bywa też niekomfortowa, bo naturalnie chcielibyśmy wszystko rozumieć i mieć jasne wyjaśnienia. W dyskursie publicznym często upraszcza się rzeczywistość do prostych kategorii. Sztuką jest zatrzymać się na chwilę i spojrzeć na rzeczy z szerszej perspektywy, zamiast reagować pierwszym impulsem i stwierdzać, że coś jest albo jednoznacznie dobre, albo jednoznacznie złe. Wszystko jest wielobarwne. Sztuczna inteligencja może oczywiście wzmacniać pewne problemy, na przykład błąd potwierdzenia. Każdy z nas funkcjonuje w pewnej bańce informacyjnej i łatwiej jest czytać treści, z którymi się zgadzamy, niż konfrontować się z tymi, które podważają nasze poglądy. Dlatego trzeba świadomie z tym pracować. Będą sytuacje, w których sztuczna inteligencja przyniesie dużo dobrego, i takie, w których może być wykorzystana w negatywny sposób.

FASCYNUJĄCE JEST TO, ŻE NA PRZYKŁAD PRZY WIELOLETNIEJ MEDYTACJI MOŻNA ZAOBSERWOWAĆ FIZYCZNE ZMIANY W STRUKTURZE MÓZGU

Wszystko zależy od tego, kto i jak będzie z niej korzystać?
Tak. To trochę jak z nożem – można nim posmarować kanapkę, ale można też zrobić nim okropne rzeczy. Różnica polega na tym, że sztuczna inteligencja jest narzędziem, jakiego wcześniej nie było. Dziś jedna osoba może dzięki niej stworzyć aplikację, stronę internetową czy zrealizować pomysł, który wcześniej wymagał całego zespołu ludzi. Wymaga to jednak czasu, ciekawości i umiejętności korzystania z tego narzędzia.
Choć wiele osób korzysta dziś z AI, ogromna większość – może nawet 95 czy 99 procent – nie wie, jak robić to naprawdę efektywnie. Kognitywistyka uczy między innymi precyzyjnego formułowania myśli i pytań. Łączy w sobie filozofię, lingwistykę, psychologię czy neurobiologię. Dzięki temu pozwala lepiej rozumieć język, błędy poznawcze i sposób działania ludzkiego mózgu. To ważne, bo duże modele językowe uczą się na ogromnych zbiorach tekstów tworzonych przez ludzi. Oznacza to, że odzwierciedlają nasze błędy poznawcze. Jeśli więc wiemy, jak te błędy działają, możemy lepiej formułować polecenia dla sztucznej inteligencji i uzyskiwać bardziej wartościowe odpowiedzi. Kolejnym aspektem jest zrozumienie działania mózgu – tego, jak informacje przepływają między różnymi sieciami neuronowymi. Wiedza o tym pomaga z kolei lepiej rozumieć działanie sztucznych sieci neuronowych i modeli językowych. Dlatego uważam, że kognitywistyka ma dziś bardzo ważne miejsce w świecie rozwijającej się sztucznej inteligencji. Niestety, w polskim systemie edukacji nie jest ona jeszcze w pełni rozpoznawana jako odrębna dziedzina. Mam jednak nadzieję, że z czasem się to zmieni i że uda się stworzyć bardziej spójny program nauczania tej dyscypliny.

Coraz częściej pojawia się pytanie o to, czy sztuczna inteligencja może kiedyś mieć własną świadomość. Czy w ogóle jesteśmy w stanie stwierdzić, czy AI ma jakąś własną perspektywę lub formę przeżywania rzeczywistości?
Ciekawą rzeczą jest to, że w przypadku innych ludzi zakładamy istnienie ich świadomości, choć tak naprawdę nie mamy na to dowodu. Nie mogę spojrzeć twoimi oczami ani przeżyć twoich myśli. Zakładam jednak, że istniejesz jako świadoma osoba, bo dzielimy wspólną historię ewolucyjną. Ze sztuczną inteligencją jest inaczej, bo nie dzielimy z nią tej historii. Nie wiemy więc, czy modele AI mają jakąkolwiek własną perspektywę czy doświadczenie. Na razie traktuję je jako narzędzia – podobnie jak komputer czy śrubokręt. Jednocześnie zdaję sobie sprawę z tego, że w przyszłości może się to zmienić. Najważniejsze jest więc rozwijanie kompetencji, które pozwolą odnaleźć się w świecie, w którym sztuczna inteligencja będzie odgrywać coraz większą rolę. Bo najprawdopodobniej nie będzie tak, że AI zastąpi ludzi. Raczej ludzie, którzy potrafią z niej korzystać, zastąpią tych, którzy tego nie potrafią.

Kognitywistyka to interdyscyplinarna nauka m.in. o umyśle. Czym właściwie jest ludzki umysł?
Umysł jest wszystkim, co postrzegam. Znajduje się w mózgu, a każdy umysł jest inny – tak jak każdy mózg jest inny. W sytuacji, gdy dochodzi do jakiegoś uszkodzenia mózgu lub gdy na przykład ktoś medytuje, zmienia się również doświadczenie tego, co nazywam rzeczywistością. Wychodzę z założenia, że umysł jest modelem rzeczywistości, indywidualną wizją świata tworzoną przez każdą jednostkę. Nie mam dostępu do umysłów innych osób.

eprasa.pl aa87686048

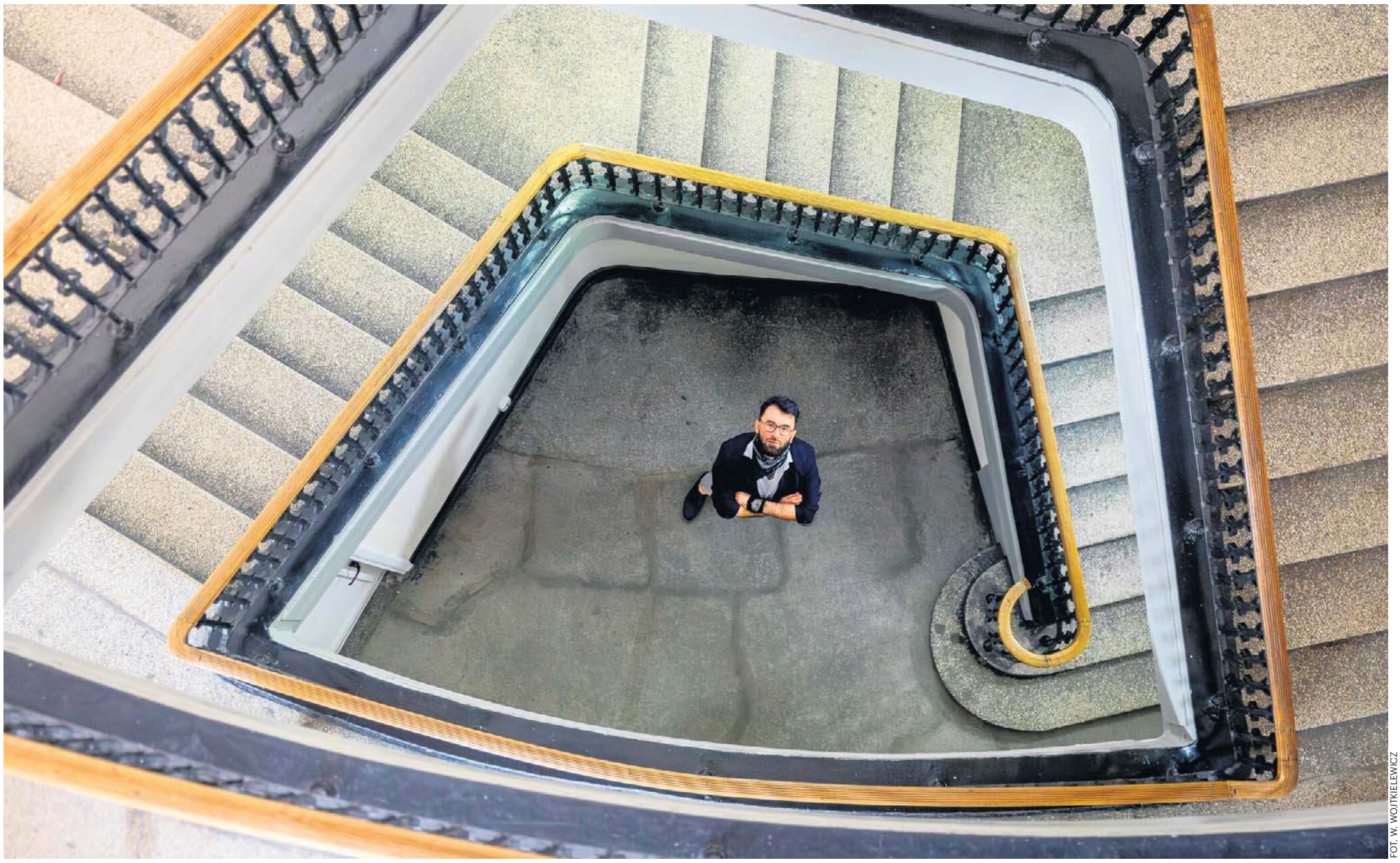

FOT. W. WOJTKIELEWICZ

– Jedną z chorób cywilizacyjnych jest dziś demencja, czyli otępienie poznawcze. Jednym ze sposobów utrzymania sprawności umysłowej jest właśnie ciągłe uczenie się – wskazuje Olgierd Borowiecki

Mogę jedynie wnioskować o ich istnieniu na podstawie twarzy, emocji czy zachowań. Tak naprawdę nie wiem jednak, czy za tym wszystkim kryje się umysł, czy nie. Byłoby nieracjonalne zakładać, że nic tam nie ma, ale takie założenie wynika głównie z powodów biologicznych i ewolucyjnych. Dzielimy wspólną historię ewolucyjną, dlatego przyjmujemy, że jesteśmy do siebie podobni, mimo widocznych różnic indywidualnych. Wiele rzeczy przyjmujemy automatycznie jako oczywiste, korzystamy ze skrótów myślowych i heurystyk. Ale w rzeczywistości, przy głębszej refleksji, okazuje się, że to, co potocznie nazywam rzeczywistością, jest modelem w moim mózgu.

Czyli można powiedzieć, że nie ma jednej rzeczywistości? Każdy z nas ma swoją?
Tak naprawdę nie możemy tego wiedzieć. Mam dostęp tylko do własnego doświadczenia rzeczywistości. Niektóre osoby nazwą to świadomością – świadomym doświadczaniem koloru, dotyku, emocji, myśli czy wyobraźni. I to wszystko nie jest możliwe do przekazania. Nie wiem, jak wygląda doświadczenie innych osób. Mogę jedynie zakładać, że jest podobne, bo używamy tych samych słów, rozumiemy się w rozmowie i potrafimy parafrazować swoje wypowiedzi. Ale to wszystko jest tylko założeniem. To, co do mnie dociera, przechodzi przez wzrokowe, słuchowe czy dotykowe receptory na moim obwodowym układzie nerwowym, które przez lata rozwoju wytrenowały moje sieci neuronowe. I te wszystkie wcześniejsze doświadczenia wpływają na to, w jakim modelu rzeczywistości żyję. Wszystko do czego mam dostęp to model, umysł, intersubiektywna rzeczywistość.

Czyli to, że moje postrzeganie świata różni się od twojego wynika z tego, że każde z nas ma za sobą różne przeżycia.
Tak, ale nie tylko. W grę wchodzą także czynniki kulturowe i ewolucyjne. W różnych kulturach inaczej mówi się o stanach mentalnych. Są takie, w których dzieci przez długi czas nie słyszą rozmów o emocjach czy myślach. W efekcie później rozwijają coś, co naukowcy nazywają teorią umysłu – zdolność rozumienia, że inni ludzie mają własne myśli, plany czy intencje. Nie dyskutuje się tam o tym, co nie jest widoczne na pierwszy rzut oka. Można też spojrzeć na to z jeszcze szerszej perspektywy ewolucyjnej. Sam fakt, że tu jesteśmy, jest ogromnym sukcesem wszystkich naszych przodków. Każdy z nich musiał przeżyć i przekazać dalej swoje geny, żebyśmy się tu znaleźli. Rzadko jednak zastanawiamy się nad tym w codziennym życiu. Ludzie są pochłonięci codziennością – pracą, rachunkami, mediami społecznościowymi, pandemią, wojną i całym natłokiem rzeczy, które w szerszej skali są w zasadzie niewiele znaczącymi rozpraszaczami. A ta większa skala to jest właśnie to, co mnie interesuje. Co jest u źródła życia i poznania – to są zagadnienia, na które warto szukać odpowiedzi. I nie wiadomo, czy ktokolwiek kiedykolwiek je znajdzie. Jest w tym coś, co przyciąga.

A jak brzmi pytanie, na które najbardziej chciałbyś znaleźć odpowiedź?
Czym jest rzeczywistość u podłoża tych modeli, które tworzę w swojej głowie? Myślę, że sam mam pewną formę neuroróżnorodności – być może spektrum czy ADHD. Traktuję to raczej jako unikalne sposoby zachowywania się, percepcji świata i funkcjonowania mózgu. W dzieciństwie miałem duże trudności ze zrozumieniem interakcji społecznych. Wolałem spędzać czas sam i dopiero z czasem nauczyłem się zasad rozmowy czy tego, że ludzie często rozmawiają o rzeczach mało istotnych. Odkrycie kognitywistyki – jako nauki – było czymś, co pozwoliło mi na modelowanie siebie i lepsze zrozumienie tego świata. Teraz interesuje mnie szczególnie to, jak działają wielkoskalowe sieci mózgowe i jak korelują z modelowaniem rzeczywistości. Fascynujące jest to, że na przykład przy wieloletniej medytacji można zaobserwować fizyczne zmiany w strukturze mózgu. Chociaż tak naprawdę każda nowa myśl, nowy nawyk czy nowa idea, fizycznie zmienia połączenia między komórkami nerwowymi.

Czyli można powiedzieć, że cała rzeczywistość jest w naszym mózgu?
W pewnym sensie tak. Wszystko, co postrzegamy, jest przefiltrowane przez sieci neuronowe. Jeśli uszkodzi się określone obszary mózgu, zmienia się sposób postrzegania świata. W momencie, jak masz odcięcie zakrętu wrzecionowatego, nie możesz postrzegać twarzy. Jest taka słynna książka Olivera Sacksa o mężczyźnie, który pomylił swoją żonę z kapeluszem. Można mieć deficyt w części MT+. Takie osoby widzą świat jak serię pojedynczych klatek. Kiedy ktoś taki zalewa sobie herbatę, to w jednej klatce ma połowę kubka, a w następnej klatce już mu się woda przelewa. To pokazuje, jak bardzo nasze doświadczenie rzeczywistości zależy od mózgu. I dlatego pytanie o to, czym jest rzeczywistość, wciąż pozostaje otwarte.

Skoro mózg w pewnym sensie nami rządzi, to czym właściwie jest wolna wola? Czy w ogóle ją mamy, czy też wszystko jest podyktowane tym, co zachodzi w naszej głowie?
To zależy od tego, kim jesteśmy. Myślę, że jestem wieloma wersjami siebie, albo wieloma osobami, w zależności od tego, jakie ramy przyjmiemy. Mogę być tu i teraz – tak jak teraz rozmawiamy – i improwizować to, co mówię, w oparciu o swoje wcześniejsze przemyślenia i doświadczenia. Ale mogę też usiąść po całym tygodniu i zastanowić się nad tym, co się wydarzyło, co można zrobić lepiej i jak zaplanować na przykład przyszłoroczny Cyber Brain. Wtedy nie myślę o tym, co jest tu i teraz, tylko o tym, co będzie za rok. Mogę też myśleć o tym, co wydarzy się za pięć lat. Dlatego pytanie, czy istnieje wolna wola, czy wszystko jest zakorzenione w cyklach neuronalnych, hormonalnych i ewolucyjnych, jest kolejnym bardzo głębokim pytaniem, na które prawdopodobnie nie ma jednoznacznej odpowiedzi. I szczerze mówiąc, nie jest to dla mnie aż tak istotne. Dla mnie ważniejszym odkryciem było to, że istnieje przyszłość. Że mogę ją zaplanować i sprawić, aby rzeczy, które najpierw pojawiają się w mojej wyobraźni, stały się rzeczywistością. To trochę tak, jakby wyobrazić sobie punkt w przyszłości i później doprowadzić do tego, żeby się zmaterializował.

eprasa.pl aa87686048

Polska
Piątek–niedziela, 27–29.03.2026

„W BÓLACH RODZIĆ BĘDZIESZ”

Krzesła porodowe, kleszcze, a nawet piłka do przecinania spojenia łonowego – takie narzędzia można zobaczyć w części historyczno-dydaktycznej Ginekologiczno-Położniczego Szpitala Klinicznego w Poznaniu. To wyjątkowe miejsce pokazuje, jak przebiegały porody w XIX wieku w Polsce i Wielkopolsce i jak ogromną drogę od tego czasu przeszła medycyna

Sylwia Rycharska

Prof. Wiesław Markwitz, kierownik Kliniki

Ekspozycja powstała ponad 20 lat temu jako pomysł prof. Edmunda Waszyńskiego, który zorganizował w Lesznie wystawę położniczo-ginekologiczną. Po połączeniu zbiorów z Leszna i Poznania powstała ekspozycja historyczno-dydaktyczna w Ginekologiczno-Położniczym Szpitalu Klinicznym. Obecnie nadzór nad tym projektem sprawuje prof. Wiesław Markwitz, kierownik Kliniki Perinatologii UMP Szpitala przy ul. Polnej, a projekt głównie służy studentom i procesowi dydaktycznemu.

Tak wyglądał poród 150 lat temu

W niewielkiej części historyczno-dydaktycznej szpitala przy ul. Polnej w Poznaniu można zobaczyć, że był to często dramatyczny i niebezpieczny moment zarówno dla matki, jak i dziecka.

W gablotach stoją lub wiszą na ścianach metalowe narzędzia o ostrych końcówkach, ciężkie kleszcze i instrumenty przypominające raczej sprzęt stolarski niż medyczny. Obok stoją drewniane krzesła porodowe, a jeszcze dalej walizka położnej. Dla współczesnego widza to często wstrząsające doświadczenie – bo dopiero tutaj widać, jak trudne były porody jeszcze w XIX wieku. – Chcieliśmy, żeby studenci uczyli się nie tylko z podręczników, ale także poprzez historię. Te eksponaty pokazują, jak wyglądało położnictwo jeszcze sto lat temu – mówi „Głosowi Wielkopolskiemu” prof. Markwitz.

Jeszcze w pierwszej połowie XX wieku większość noworodków rodziła się poza szpitalem. W okresie międzywojennym w Wielkopolsce około 80 proc. porodów odbywało się w domach. Położne chodziły do rodzących z niewielką walizką, w której mieściło się wszystko, co było potrzebne do przyjęcia dziecka na świat.

Wśród eksponatów poznańskiej kolekcji jest właśnie taki zestaw. W środku znajdują się m.in. narzędzia do szycia krocza, gaziki, termometr do sprawdzania temperatury wody, w której kąpano noworodka, a także niewielka waga do ważenia dziecka.

– To był bardzo minimalistyczny zestaw. Położna musiała sobie poradzić w każdych warunkach – tłumaczy prof. Markwitz.

W wielu domach poród odbywał się przy świecach lub lampie naftowej. Zdarzało się, że kobieta rodziła w pozycji siedzącej na specjalnym krześle porodowym. Takie krzesła, popularne również w Wielkopolsce, można zobaczyć na ekspozycji. Jedno pozwalało rodzić w pozycji kolankowo-łokciowej, na drugim kobieta siedziała, a położna klękała przed nią i pomagała przy porodzie.

Nieoczywistym elementem jest miska, w której kobieta myła nogi. Profesor wyjaśnia, że w ten sposób starano się wprowadzić choć najbardziej podstawowe zasady higieny przed badaniem. Jednocześnie – jak dodaje – miało to też bardzo praktyczny powód. – W dawnych opisach i wspomnieniach lekarzy czy położnych często pojawia się narzekanie na zapach nóg rodzących kobiet. Trzeba pamiętać, że wiele z nich przychodziło na badanie prosto z pracy – z pola, z gospodarstwa czy z fabryki – dlatego takie umycie nóg było pierwszą rzeczą, którą robiono – mówi prof. Markwitz.

Brutalne narzędzia XIX-wiecznego położnictwa

Największe wrażenie robią jednak narzędzia używane przy tzw. trudnych porodach.

W XIX wieku nie znano jeszcze znieczulenia ani zasad aseptyki i antyseptyki. Dobrym położnikiem był ten, który potrafił odebrać poród drogami naturalnymi – nawet w bardzo trudnych warunkach. Pomagało w tym różnego rodzaju instrumentarium położnicze (kleszcze, haki czy perforatory). – Praktycznie wszystkie porody starano się zakończyć drogą przezpochwową. Cięć cesarskich prawie nie wykonywano, bo w większości przypadków kończyły się śmiercią kobiety – wyjaśnia prof. Markwitz.

Jednym z najbardziej szokujących eksponatów jest piła Einkena. Służyła do przecinania spojenia łonowego rodzącej kobiety. Zabieg wykonywano wtedy, gdy płód było zbyt duży, by mogło przejść przez kanał rodny. Dzięki temu uzyskiwano kilka dodatkowych centymetrów przestrzeni.

– Takiego położnictwa dziś już byśmy nie chcieli – przyznaje prof. Markwitz. – Trzeba jednak pamiętać, że te narzędzia powstawały z myślą o tym, by ratować życie kobiet i noworodków.

Na ekspozycji można zobaczyć także perforator Leesinga. Używano go w sytuacji, gdy płód miał wodogłowie. Narzędzie dzięki ostrym kolcom pozwalało zmniejszyć objętość główki, aby możliwe było zakończenie porodu drogami naturalnymi.

Profesor tłumaczy, że takie procedury wykonywano przede wszystkim w sytuacjach skrajnych.

– Jeśli płód obumarł w łonie matki, trzeba było go wydobyć. W przeciwnym razie doszłoby do zakażenia i śmierci kobiety najczęściej matki kilku dzieci. Dlatego używano narzędzi, które pozwalały zmniejszyć objętość płodu i zakończyć poród – wyjaśnia.

Historia położnictwa pokazuje także, jak zmieniało się podejście do samej kobiety. Jeszcze w XIX wieku była ona traktowana przedmiotowo. Priorytetem było zakończenie porodu i uratowanie noworodka nawet kosztem zdrowia matki. – W tamtych czasach obowiązywała zasada jak najszybciej oddzielić płód od matki. Dopiero rozwój medycyny zmienił tę perspektywę i zaczęto zwracać uwagę na bezpieczeństwo kobiety i jej komfort – mówi profesor.

W TAMTYCH CZASACH OBOWIĄZYWAŁA ZASADA, BY JAK NAJSZYBCIEJ ODDZIELIĆ PŁÓD OD MATKI. DOPIERO ROZWÓJ MEDYCYNY ZMIENIŁ TĘ PERSPEKTYWĘ

Przełom nastąpił na przełomie XIX i XX wieku. Wtedy zaczęto stosować zasady aseptyki i antyseptyki, wprowadzono znieczulenie oraz udoskonalono technikę cięcia cesarskiego.

Poznań na mapie położnictwa

Historia poznańskiego ośrodka położniczego jest zresztą bardzo bogata. Jedną z najważniejszych postaci był Heliodor Święcicki, pierwszy rektor Uniwersytetu Poznańskiego.

Był nie tylko ginekologiem i położnikiem, ale również pionierem znieczulenia w położnictwie. W XIX wieku wykonał ósme na świecie cięcie cesarskie u pacjentki ze stanem przedrzucawkowym. Operację przeprowadził w domu rodzącej przy ulicy Piekary w Poznaniu.

Na ekspozycji można zobaczyć replikę aparatu do znieczulenia jego pomysłu. To urządzenie działało na podobnej zasadzie jak współczesny podtlenek azotu stosowany na salach porodowych.

Historia lokalnego położnictwa sięga jednak znacznie dalej i splata się z historią europejskiej medycyny. Prof. Markwitz zwraca uwagę na tzw. „drzewo genealogiczne”, czyli naukową linię uczniów i mistrzów, z której wywodzi się także poznański ośrodek.

Jedną z ważnych postaci tej historii był Robert Remak – wybitny XIX-wieczny histolog i embriolog, który badał rozwój komórek i zarodka. To właśnie on jest autorem słynnej zasady „omnis cellula e cellula” – mówiącej, że każda komórka powstaje z innej komórki. – W medycynie często mówi się o takim drzewie genealogicznym uczonych. Profesor uczy swoich asystentów, oni później zostają profesorami i kształcą następnych. W ten sposób wiedza przechodzi z pokolenia na pokolenie – tłumaczy prof. Markwitz.

Tak było również w Poznaniu. Gdy powstawała klinika położnicza w czasach zaboru pruskiego, pracowali w niej wyłącznie lekarze i personel niemiecki. Polacy nie mieli wówczas dostępu do stanowisk akademickich.

Sytuacja zmieniła się dopiero po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 roku i powstaniu Uniwersytetu Poznańskiego. Wtedy zaczęto budować polską kadrę naukową i medyczną, a jednym z jej filarów stał się właśnie Heliodor Święcicki.

W kolekcji ekspozycji znajdują się także dokumenty związane z historią

FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI

Syringa – specjalna strzykawka służąca do chrztu wewnątrzmacicznego, jako lewatywa i stosowania środków antyseptycznych do jamy macicy

eprasa.pl aa87686048

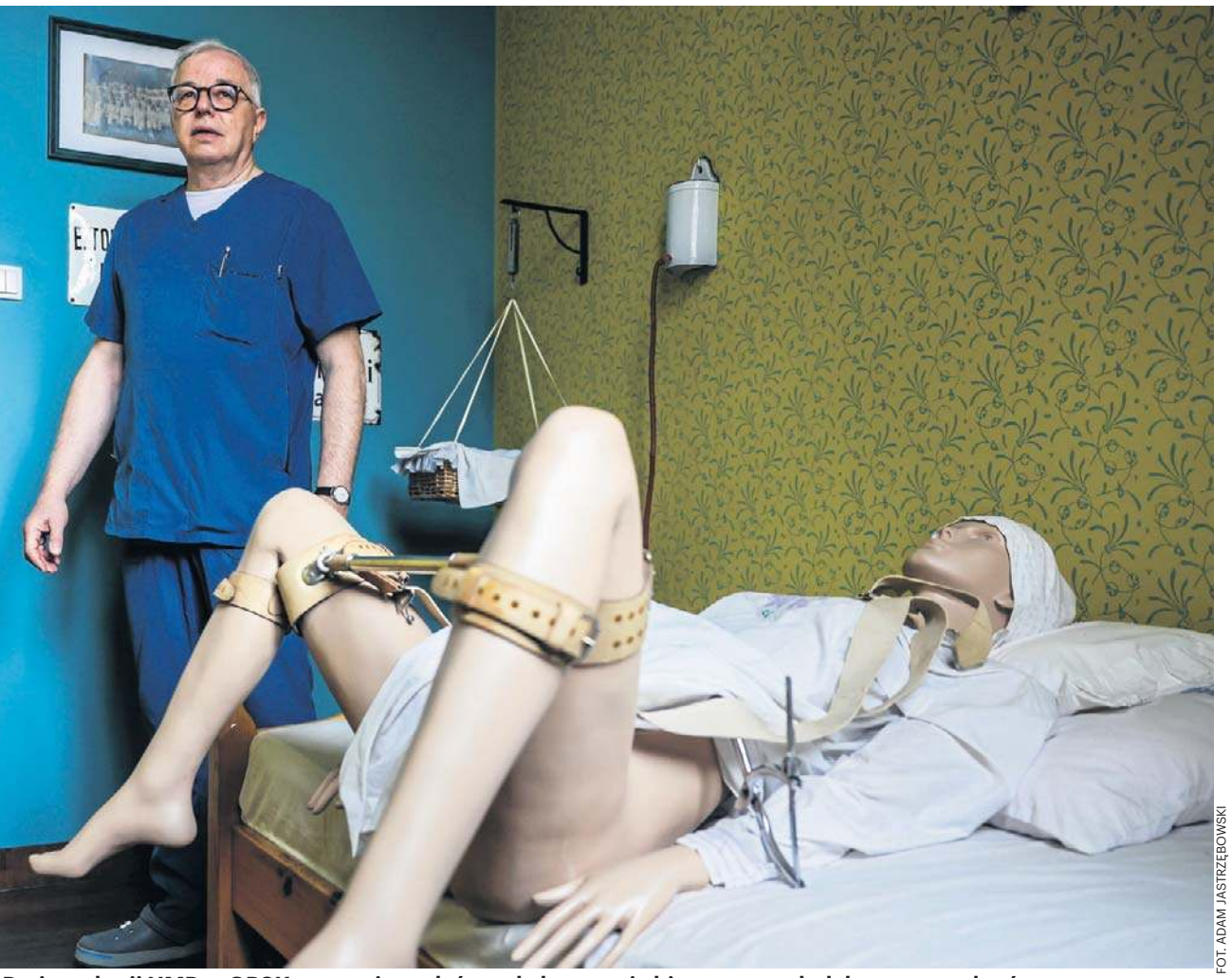

FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI

Perinatologii UMP w GPSK sprawuje nadzór nad ekspozycją historyczno-dydaktyczną w placówce

FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI

Takie preparaty przy Polnej są wręcz unikatowe, bo w związku z postępem diagnostyki takich wad się praktycznie nie obserwuje

samego szpitala przy ul. Polnej. Jednym z najciekawszych jest księga przyjęć z 1 września 1939 roku.

W jednym z wpisów zapisano krótką adnotację: „uciekła z powodu nalotu". Pacjentka opuściła szpital zaraz po porodzie, gdy w czasie pierwszych bombardowań jedna z bomb spadła na skrzydło budynku od strony ulicy Jackowskiego.

Wśród pamiątek są również stare księgi porodowe, dyplomy położnych oraz podręczniki medyczne z XIX wieku. Najstarsza książka znajdująca się w kolekcji pochodzi z 1782 roku i zawiera bardzo szczegółowe ryciny przedstawiające ułożenie płodu w łonie matki. – Jak się patrzy na te ilustracje, widać, że wiedza anatomiczna była już wtedy bardzo rozwinięta – mówi profesor.

Od świec do nowoczesnego położnictwa

Jednym z najbardziej niezwykłych przedmiotów jest tzw. syringa – specjalna strzykawka mająca wielorakie zastosowanie: do chrztu wewnątrzmacicznego, jako lewatywa i stosowania środków antyseptycznych do jamy macicy.

Obok można zobaczyć pierwsze maski do znieczulenia, stare mikroskopy oraz przyrządy do badania ginekologicznego. Wśród nich są także wzierniki wykonane ze szkła i porcelany. – Nie trzeba mieć wielkiej wyobraźni, żeby pomyśleć, co się działo, gdy taki wziernik pękł w czasie badania – mówi profesor. Wśród eksponatów jest także przedmiot, który na pierwszy rzut oka nie wygląda jak sprzęt medyczny – metalowy termofor. Jego historia jest jednak bardzo nietypowa. Powstał z przerobionej miny przeciwpiechotnej. Po II wojnie światowej brakowało sprzętu medycznego i szpitale często wykorzystywały różne przedmioty, które można było zaadaptować do nowych funkcji. – To był okres ogromnych niedoborów. Lekarze i personel medyczny musieli sobie radzić z tym, co było pod ręką. Dlatego nawet elementy wojskowego sprzętu przerabiano na wyposażenie szpitalne – opowiada prof. Markwitz.

Takie metalowe pojemniki napełniano gorącą wodą lub lodem i wykorzystywano podobnie jak współczesne termofory, aby ogrzewać lub chłodzić pacjentki lub noworodki.

Niektóre przedmioty w kolekcji mają też swoją własną historię i trafiły do niej zupełnie przypadkiem. Jednym z takich eksponatów jest szklana kaczka dla kobiet, czyli naczynie używane przez pacjentki, które nie mogły wstawać z łóżka.

– Znalazłem ją kiedyś na pchlim targu w Wałbrzychu. Sprzedawca nawet nie bardzo wiedział, co to jest. Zacząłem się z nim targować i w końcu udało się ją kupić – opowiada prof. Markwitz.

Jak przyznaje, od razu zwrócił uwagę na to, że jest to stary szpitalny przedmiot. Dawniej takie naczynia wykonywano ze szkła, ponieważ można je było łatwo wygotować i w ten sposób ponownie wysterylizować. Dziś podobne przedmioty wykonuje się z plastiku i traktuje jako jednorazowe.

Do kolekcji w podobny sposób trafiła również walizka położnej, używana podczas porodów domowych. – Ktoś porządkował strych i znalazł starą walizkę z narzędziami. Okazało się, że należała kiedyś do położnej. Zamiast ją wyrzucać, przekazano ją do naszej kolekcji – mówi profesor.

W środku zachował się niemal kompletny zestaw przedmiotów używanych podczas porodów domowych: narzędzia do szycia krocza, gaziki, termometr do sprawdzania temperatury wody, a także niewielka waga do ważenia noworodka.

Największe wrażenie robi jednak zaaranżowana sala porodowa z początku XX wieku. Przy przygaszonym świetle i świecach można zobaczyć, w jakich warunkach kobiety rodziły jeszcze kilkadziesiąt lat temu.

– Kiedy podczas Nocy Muzeów zgasiliśmy światła i zapaliliśmy świeczki, wiele osób mówiło, że dopiero wtedy naprawdę poczuło klimat tamtych czasów – wspomina profesor.

Historia pokazuje ogromną zmianę. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu umieralność okołoporodowa była wielokrotnie wyższa niż dziś.

– Gdy wprowadzaliśmy trójstopniowy system opieki perinatalnej, umieralność okołoporodowa wynosiła około 95 promili. Dziś to mniej więcej cztery i pół promila – mówi prof. Markwitz.

Dzięki temu współczesne położnictwo nie ma już wiele wspólnego z narzędziami, które dziś można oglądać w ekspozycji historyczno-dydaktycznej przy Polnej. Jednak – jak podkreśla profesor – to właśnie one pokazują, jak długą drogę przeszła medycyna w ciągu zaledwie dwóch stuleci.

– Każde z tych narzędzi jest świadectwem wysiłku lekarzy i położnych, którzy próbowali ratować kobiety i dzieci w czasach, gdy medycyna miała znacznie mniej możliwości – mówi.

FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI

Narzędzia używane przy trudnych porodach. Dobrym położnikiem był ten, który potrafił odebrać poród drogami naturalnymi. Pomagało w tym różnego rodzaju instrumentarium (kleszcze, haki czy perforatory)

eprasa.pl aa87686048

NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY

poleca
Agaton Koziński

Popkulturowe piętno Polski ludowej

Rzadko kiedy traktuję książki osobiście. Owszem, zajmują one w moim życiu dużo miejsca – ale bardziej jako towarzysz, doradca, czasem wykładowca akademicki. Rzadko kiedy stają się dla mnie lustrem czy personalnym pamiętnikiem. Tymczasem tak się stało w przypadku książki „333 popkulturowe rzeczy… PRL". Jako dziecko Polski ludowej (w 1989 r. miałem 14 lat) nie mogłem jej zresztą odebrać inaczej. Pierwszy raz bowiem zdarzyło mi się takie poczucie – to, że ktoś zamknął całe moje szczenięce lata w jednej książce.

Ten ktoś to Bartek Koziczyński, na co dzień dziennikarz radia RDC. Kilkanaście lat temu opublikował pierwszą wersję „333 popkulturowe rzeczy… PRL". Nie wiem, jak to było możliwe, ale wtedy tej książki w ogóle nie zauważyłem, gdzieś przeszła bokiem poniżej moich radarów. Wpadła mi w ręce dopiero teraz, gdy do księgarni trafiła jej nowa, rozszerzona, ładniej zilustrowana wersja. I oniemiałem przy niej, już patrząc na okładkę – bo znalazły się na niej postaci, które w latach 80. przyprawiały mnie o dreszcz emocji. Komiksy „Relax", które bardzo ciężko było dostać, więc gdy te kilka razy wpadły w moje ręce, to czułem się jakbym robił zakupy w Pewexie. Franek Kimono, który strasznie mi imponował stylem Bruce'a Lee. Arabella – absurdalny humor tego czechosłowackiego serialu poznałem już w przedszkolu.

W środku nie jest może tak spektakularnie, ale jest szczególarsko. Koziczyński starannie zmapował wszystkie najważniejsze zjawiska PRL-owskiej popkultury. Zajrzał w każdy jej kąt. Ten najbardziej oficjalny, który wyznaczała państwowa telewizja. Ten bardziej zakazany, który oznaczał dostęp do produktów z Zachodu. Mamy zarówno te z „PRL-wskim atestem" (gumy balonowe Donald z historyjkami były dostępne w sklepach, a „Terminatora" – pod nazwą „Elektroniczny morderca" – można było oglądać w kinach), jak i owoce bardziej zakazane, krążące jedynie na nielegalnych VHS-ach, a nawet przejawy kultury całkiem poza oficjalnym okręgiem (jak choćby muzyka z festiwalu w Jarocinie). Do tego jeszcze dużo o wszelkiego rodzaju gadżetach, produktach czy designie, który kształtował gusta dzieciaków w PRL-u.

Bo cokolwiek byśmy o Polsce ludowej powiedzieli (choć ciężko powiedzieć o niej coś pozytywnego), to jednak naznaczyła ona swymi czasami mnóstwo osób – popularność PRL-owskiego designu na różnych aukcjach (i jego ceny) najlepiej tego dowodzą. Książka Koziczyńskiego pokazuje, skąd wziął się ten fenomen.

Bartek Koziczyński „333 popkultowe rzeczy… PRL", wyd. Vesper, Poznań 2025, cena 159,90 zł

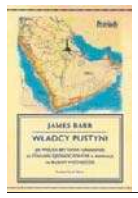

Bliski Wschód. Tykająca geobomba

Jak Wielka Brytania rywalizowała z USA o dominację na Bliskim Wschodzie – głosi podtytuł tej książki. Barr (autor słynnej „Linii na piasku") przypomina korzenie napięć na Bliskim Wschodzie.
James Barr „Władcy pustyni", wyd. Prześwity, Warszawa 2026, cena 84,90 zł

Czasy, gdy Portugalia zajmowała pół świata

W epoce wielkich odkryć geograficznych Portugalia kontrolowała pół świata. Dosłownie. Teraz Fatland rusza w podróż po tym obszarze. Ile zostało tam z Portugalii?
Erika Fatland „Żeglarz. Podróż przez utracone portugalskie imperium", wyd. Post Factum, Katowice 2026, cena 89,90 zł

Jak Zadie Smith oglądała Benny Hilla

Zbiór esejów autorki słynnych „Białych zębów". Smith lekkim piórem przemieszcza się przez kolejne obszary życia publicznego: od polityki, przez obserwacje społeczne, po folklor i programy TV.
Zadie Smith „Żywa i martwa", wyd. Znak, Kraków 2026, cena 69,99 zł

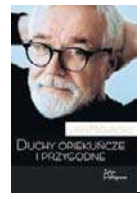

Codzienność refleksją podszyta

Proza krakowskiego wykładowcy i krytyka sztuki jest przesycona refleksją na temat codzienności. Całość głęboko podszyta katolicką duchowością.
Jan Michalski „Duchy opiekuńcze i przygodne", wyd. Teologia Polityczna, Warszawa 2026, cena 49 zł

Historia zawrotnego sukcesu w biznesie

Produkująca komputerowy hardware Nvidia to najwyżej wyceniana firma w historii ludzkości. Książka odsłania kulisy jej powstania i sukcesu.
Stephen Witt „Maszyna myśląca. Jensen Huang, Nvidia i najbardziej pożądany mikrochip na świecie", wyd. Insignis, Kraków 2026, cena 54,99 zł

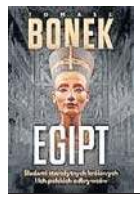

Kleopatra, Hatszepsut i inne kobiety faraonowie

Egipt – jedna z najstarszych cywilizacji. I to ona wyznaczała też standard krajów rządzonych przez kobiety. Bo w dziejach było siedem faraonek.
Tomasz Bonek „Egipt. Śladami starożytnych królowych i ich polskich odkrywców", wyd. Znak, Kraków 2026, cena 59,90 zł

Dalajlama podsumowuje życie

Przywódca duchowy Tybetańczyków opisuje 70 lat swoich relacji z Chinami. Podsumowanie jego życia w wymiarze politycznym.
„Dalajlama XIV – głos uciśnionych. Siedem dekad walki z Chinami o mój kraj i naród", wyd. PIW, Warszawa 2026, cena 59 zł

Czego pragną mężczyźni?

Seria rozmów o współczesnej definicji męskości. Rozmówcy skupiają się przede wszystkim na emocjach.
Szymon Żyśko, Mateusz Kowalski, Robert Konecki „Nowa męskość. Intymne rozmowy o tym, czego potrzebują mężczyźni", wyd. Mando, Kraków 2026, cena 52,90 zł

Superman kontra Doomsday

Trzecia część trylogii o zmaganiach Supermana z Doomsdayem. Arcyrywal człowieka ze stali wraca silniejszy niż kiedykolwiek.
Dan Jurgens, Jerry Ordway, Louise Simpson „Superman. Doomsday powraca", wyd. Egmont, Warszawa 2026, cena 219,99 zł

Grochola powraca po dwóch dekadach

„Nigdy w życiu" Grocholi zawojowało polskich czytelników 20 lat temu. Teraz autorka wraca do swoich bohaterów. Co dziś u nich?
Katarzyna Grochola „Właśnie że tak! Nigdy w życiu! 20 lat później", Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, cena 59,90 zł

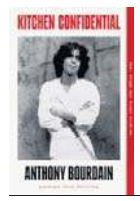

Życie w kuchni pokazane od kuchni

Książka powstała w 2000 roku, ale dalej pozostaje świetną opowieścią o tym, jak wygląda praca w restauracyjnej kuchni. A Bourdain okazuje się ciekawym narratorem.
Anthony Bourdain „Kitchen Confidential", wyd. Buchmann, Warszawa 2026, cena 59,99 zł

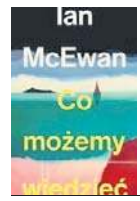

W poszukiwaniu zaginionego tekstu

Najnowsza, 18. w dorobku powieść autora słynnej „Pokuty". Tym razem autor łączy formułę thrillera z science fiction. Jest rok 2119. Naukowiec szuka tekstu powieści z 2014 r.
Ian McEwan „Co możemy wiedzieć", wyd. Albatros, Warszawa 2026, cena 49,90 zł

Pająki i ludzie

Druga część sagi fantasy ciągnąca wątki z „Dzieci czasu". Międzygatunkowe relacje między ludźmi i pająkami są fundamentem tego świata przyszłości, w którym normą są podróże między kolejnymi układami słonecznymi.
Adrian Tchaikovsky „Dzieci Ruiny", wyd. Vesper, Poznań 2026, cena 89,90 zł

Książkowy spacer po wrzosowiskach

Nowe wydanie klasycznej powieści z połowy XIX wieku. Miłość i zemsta – dwie emocje, które napędzają tę książkę. I po raz kolejny jest okazja, aby przespacerować się po wrzosowiskach Yorkshire.
Emily Brontë „Wichrowe Wzgórza", wyd. W.A.B., Warszawa 2026, cena 54,99 zł

Chińczycy wchodzą na rynek komiksów

Komiks to dziedzina zdominowana przez Amerykanów, swoje trzy grosze wtrącają do niej Europejczycy (głównie Francuzi). Ale do tej gry chcą też wejść, jak zresztą we wszystkich obszarach, Chińczycy. Stąd „Małpi król".
Chaiko „Małpi król", wyd. Egmont, Warszawa 2026, cena 69,99 zł

Książeczka oswajająca strach przed nieznanym

Książeczka dla dzieci, która pomaga oswoić się z innością. Pokazuje, jak ciężko odnaleźć się w zwartej grupie komuś nowemu, ale też tłumaczy, że przełamanie lęku przed nieznanym potrafi stać się atutem.
Anna Paszkiewcz „Koło", wyd. Widnokrąg, Piaseczno 2026, cena 48 zł

eprasa.pl aa87686048

Za każdą budową i remontem stoi konkretny człowiek - ze swoją historią, która potrafi czasami zaskoczyć

W budownictwie liczy się efekt końcowy, ale przede wszystkim droga, którą trzeba do niego przejść. Za każdą realizacją i każdym remontem stoi konkretna firma, konkretny człowiek.

O budownictwie najczęściej mówimy właśnie przez efekt końcowy, bo widzimy nowy dom, wyremontowane mieszkanie, równe ściany, dobrze położoną podłogę, kafelki. Rzadziej myślimy o tym, co wydarzyło się wcześniej - o etapach, które poprzedzają moment oddania kluczy czy zakończenia prac. O decyzjach, które trzeba podjąć, czasami szybko i pod presją, bo wiele sytuacji trudno przewidzieć.

A jeszcze rzadziej myślimy o ludziach, którzy za tymi inwestycjami stoją. O fachowcach, dla których remont czy budowa to nie jednorazowe doświadczenie, ale codzienna praca, w której nie ma dwóch identycznych dni, Bo każda budowa, każdy remont to trochę inna historia, jak mówią uczestnicy plebiscytu Mistrzów Budownictwa 2026.

Za nami trzeci tydzień głosowania w tej akcji. Uczestniczą w niej zarówno firmy remontowo-budowlane oraz ich właściciele, jak również budowlańcy. Bo chcieliśmy ich docenić. Pokazać, że za każdą robotą stoi konkretny człowiek.

- W ramach plebiscytu Mistrzowie Budownictwa 2026 prosiliśmy uczestników, by podzielili się z nami tym, co ważne, ciekawe, a czasem zupełnie zaskakujące w ich codziennej pracy. Tak było również w przypadku budowlańców. To dlatego zarówno w naszej gazecie, jak i na stronie internetowej znajdziecie opowieści fachowców, którzy zaprosili nas do swojego świata - mówi Katarzyna Borek, opiekująca się akcją od strony redakcyjnej.

Z tych opowieści wynika jedno: w tej branży wszystko dzieje się w warunkach często dalekich od idealnych. To praca fizyczna, wymagająca, uzależniona od pogody, terminów, dostępności materiałów i tego, co zastanie się na miejscu. Czasem coś trzeba poprawić, czasem zmienić plan, a czasem podjąć decyzję, która będzie miała konsekwencje na lata. To zawód, w którym wiedza techniczna to jedno, ale równie ważne są doświadczenie, odpowiedzialność i umiejętność radzenia sobie w sytuacjach, których nie przewidziano w projekcie. To także praca z ludźmi. Jak podkreśla redaktorka: - Właśnie dlatego w ramach Mistrzów Budownictwa chcieliśmy pokazać tę branżę trochę inaczej. Nie tylko przez pryzmat realizacji czy gotowych efektów, ale także przez ludzi i ich doświadczenia. Przez to, co dzieje się „po drodze". Te opowieści są różne, jak różne są firmy, budowy i ludzie, którzy na nich pracują.

MISTRZOWIE BUDOWNICTWA

Rodzinne korzenie powiodły do własnej drogi

Dawid Giza, Usługi Budowlano-Remontowe Dawid Giza, Strykowice Podleśne

U wielu wybór zawodu to kwestia przypadku, ale są też historie, w których wszystko zaczyna się w domu - od obserwacji, pomocy i pierwszych wspólnych prac. Tak właśnie było u Dawida Gizy.

- Moja praca to w pewnym stopniu efekt rodzinnej tradycji. Dziadek był murarzem, a tata zajmował się remontami, więc od małego miałem styczność z taką pracą - mówi Dawida Giza. - Pomagałem tacie i z czasem sam zdecydowałem, że chcę iść w tym kierunku. To jest właśnie to, co chciałbym robić - ten zawód mi się podoba i chcę się w nim rozwijać - dodaje. Dziś Jego podejście do pracy opiera się na wartościach, które budują zaufanie i przekładają się na jakość realizacji. - Myślę, że klienci i współpracownicy powinni wiedzieć, że w swojej pracy stawiam przede wszystkim na dokładność i uczciwość. Zawsze staram się robić wszystko tak, jak dla siebie - solidnie i bez pośpiechu, żeby efekt był naprawdę dobry - podkreśla. W pracy zwraca dużą uwagę na detale, bo wie, że to one często decydują o końcowym wyglądzie. - Ważne jest dla mnie też dobre podejście do ludzi - staram się być komunikatywny, słuchać klienta i doradzić, jeśli jest taka potrzeba - zaznacza i dodaje: - Lubię, kiedy praca jest zrobiona porządnie, a klient jest zadowolony. To właśnie połączenie rodzinnych korzeni, zaangażowania i dbałości o detale sprawia, że Jego praca ma solidne fundamenty - nie tylko techniczne, ale też ludzkie.

Elektryka na miarę współczesnych potrzeb

ElStar Instalacje Elektryczne
Stary Kadłubek, Stary Kadłubek 42

Firma ElStar Instalacje Elektryczne, prowadzona przez Dominika Starzyńskiego, łączy doświadczenie z dynamicznym rozwojem.

Od momentu powstania w 2019 roku przedsiębiorstwo konsekwentnie buduje swoją pozycję na rynku województwa mazowieckiego, zdobywając zaufanie klientów zarówno indywidualnych, jak i biznesowych. Firma specjalizuje się w szerokim zakresie usług elektrycznych, obejmujących projektowanie i montaż instalacji, a także nowoczesne rozwiązania z zakresu automatyki i bezpieczeństwa. W ofercie znajdują się m.in. systemy automatyki do bram, rolety antywłamaniowe, monitoring, alarmy, domofony oraz kompleksowe instalacje elektryczne, realizowane z dbałością o każdy etap inwestycji. ElStar wyróżnia się wykorzystaniem sprawdzonych technologii i rozwiązań renomowanych marek, co przekłada się na trwałość i niezawodność wykonywanych instalacji. Firma stale rozwija swoją ofertę, podążając w kierunku inteligentnych systemów smart home, które odpowiadają na rosnące potrzeby nowoczesnych użytkowników. Kluczowe znaczenie ma tu indywidualne podejście do klienta - od etapu doradztwa i bezpłatnej wyceny, aż po realizację i finalny efekt. To właśnie połączenie wiedzy technicznej, zaangażowania oraz nowoczesnego spojrzenia na branżę sprawia, że ElStar jest partnerem, któremu można powierzyć nawet najbardziej wymagające projekty.

LIDERZY RANKINGÓW

Oto lista uczestników plebiscytu, którzy od początku głosowania do czwartku, do godz. 10 zdobyli najwięcej głosów wśród liderów z miast i powiatów oraz lista liderów głosowania w kategoriach wojewódzkich

HYDRAULIK ROKU

1. **Ernest Bereski,** Plumber Ernest Bereski, Wyszków
2. **Dawid Tomkowski,** Hydro-Tom Usługi Hydrauliczne, Radom
3. **Radosław Balcerak,** AquaExpert Usługi hydrauliczne, Białki

ELEKTRYK ROKU

1. **Marek Gos,** Elektryk Marek Złota Rączka, Szydłowiec
2. **Rafał Kobyłka,** Elektro Gonz, Przysucha
3. **Dominik Starzyński,** ElStar Instalacje Elektryczne, Stary Kadłubek

BUDOWLANIEC ROKU

1. **Kamil Podniesiński,** Pogotowie remontowe Kamil Podniesiński, Siedlce
2. **Przemysław Pietrak,** PRW Przemysław Pietrak, Kiełczew
3. **Dawid Giza,** Usługi Budowlano-Remontowe Dawid Giza, Strykowice Podleśne

PROJEKTANT/ARCHITEKT ROKU

1. **Daniel Drzazga,** ArchStudio Biuro Projektowe, Mińsk Mazowiecki
2. **Joanna Maciejewska,** Space Concept - Projektowanie Wnętrz Joanna Maciejewska, Sierpc
3. **Paulina Wlazły,** Vlazly Interiors, Radom

GEODETA ROKU

1. **Hubert Kowalski,** H&J Sp. z o.o., Otwock
2. **Łukasz Aderek,** Geowita Usługi Geodezyjne Łukasz Aderek, Radom
3. **Bartłomiej Kowalewski,** Geodezja - Bartłomiej Kowalewski, Sochaczew

STOLARZ ROKU

1. **Rafał Świerczyński,** Pan Decha, Radom

SZEF FIRMY REMONTOWO-BUDOWLANEJ ROKU

1. **Mateusz Antoniak,** Mat-Bud, Warszawa
2. **Marcin Szewczyk,** Saniko, Radom
3. **Artur Jaskulski,** Paterson Ocieplenia, Grójec

FIRMA REMONTOWO-BUDOWLANA ROKU

1. **ElStar Instalacje Elektryczne,** Stary Kadłubek, Stary Kadłubek 42
2. **Kompleksowo,** Wołomin, Kościelna 67
3. **PMG Kiliański,** Usługi remontowo-budowlane, Ciechanów

Sprawdź aktualne wyniki i głosuj na:
www.polskanews.pl/mistrzowie-budownictwa

eprasa.pl aa87686048

INWESTYCJE MOST W UL. CIEŚLEWSKICH NA WARSZAWSKIEJ BIAŁOŁĘCE NIE BYŁ REMONTOWANY OD 1992 ROKU

Rozbiorą 50-letni most. W jego miejscu powstanie nowa przeprawa

Joanna Postrzednik
Warszawa

Warszawa szykuje się do przebudowy mostu nad Kanałem Żerańskim. 50-letnia przeprawa łącząca oba brzegi kanału zostanie rozebrana, a w jej miejscu powstanie nowa.

FOT. MATERIAŁY ZDM

Zostanie przebudowany most spinający brzegi Kanału Żerańskiego na Białołęce. Nowy - podobnie jak obecny - będzie miał po jednym pasie ruchu w każdą stronę

Most w ul. Cieślewskich na warszawskiej Białołęce to wiekowa przeprawa, która ostatni większy remont przeszła 34 lata temu. Wówczas jej betonowa konstrukcja została zamieniona na stalową. Od 1992 roku most nie był poddawany poważniejszym remontom. Jednak ma to się zmienić i to znacząco. Zarząd Dróg Miejskich w Warszawie poinformował o zebranych ofertach na całkowitą przebudowę. W puli jest 14 propozycji.

- Otrzymaliśmy aż 14 ofert na wykonanie prac. Wszystkie poniżej przewidywanej przez nas kwoty 22,3 mln zł. Najniższa wynosi 12,3 mln zł (aż 10 mln zł mniej niż przygotowana kwota), a najwyższa niecałe 19,9 mln zł - informuje ZDM w Warszawie. Obecnie ZDM analizuje zgłoszone oferty. Po wybraniu najkorzystniejszej i podpisaniu umowy wybrany wykonawca będzie miał 16 miesięcy na przeprowadzenie prac.

Most w ciągu ul. Cieślewskich to jedna z kilku przepraw spinająca brzegi Kanału Żerańskiego. Łączy także dwie ważne białołęckie ulice - Płochocińską i Białołęcką. ZDM zaznacza, że przebudowa mostu nie będzie tylko dogłębnym odświeżeniem. Wiekowy most zostanie rozebrany, a w jego miejscu powstanie zupełnie nowa konstrukcja.

- Na odbudowanym moście będzie oczywiście nowa nawierzchnia jezdni, ale poprawimy także komunikację pieszą i rowerową - dodaje ZDM.

Po obu stronach mostu powstaną 3,5-metrowe ciągi, które zostaną przystosowane do wyznaczenia na nich ciągu pieszorowerowego. Od jezdni będą oddzielone barierkami, których dzisiaj na moście nie ma.

- Nowe ciągi zostaną dowiązane do nowej infrastruktury w ciągu ul. Białołęckiej. Zmianami na ul. Białołęckiej zajmuje się Stołeczny Zarząd Rozbudowy Miasta, który podpisał umowę na kompleksową przebudowę ulicy - przekazuje ZDM.

Wbrew oczekiwaniom kierowców, którzy codziennie korzystają z tej przeprawy, liczba pasów nie ulegnie zmianie. Nowy most będzie miał po jednym pasie w każdą stronę. - Temat przepustowości był analizowany na etapie projektowym. Docelowa liczba pasów na moście musi być dopasowana do układu dróg dojazdowych po obu stronach - argumentuje ZDM.

Most jest ważnym elementem trasy m.in. autobusu linii 152, którym codziennie podróżują mieszkańcy, w tym dzieci uczęszczające do szkół po obu stronach Kanału Żerańskiego.

Tymczasowa organizacja ruchu będzie więc kluczowa zarówno kierowców, bezpieczeństwa pieszych, jak i sprawnego funkcjonowania komunikacji miejskiej.

- Rozumiemy obawy mieszkańców związane z zamknięciem mostu na ul. Cieślewskich - szczególnie tych, których dzieci dojeżdżają tędy do szkoły. Chcemy jednak podkreślić, że prace są prowadzone w sposób zaplanowany i kontrolowany, a jednym z najważniejszych elementów przygotowań będzie opracowanie czasowej organizacji ruchu przez przyszłego wykonawcę - odpowiada ZDM.

I dodaje, że zanim rozpoczną się prace rozbiórkowe i budowa nowej przeprawy, powstanie szczegółowy projekt objazdów, dojść i zabezpieczeń, który ma zapewnić możliwość bezpiecznego przemieszczania się - również dzieci do szkół.

Jak informuje miasto, w planach nie ma scenariusza budowy przeprawy tymczasowej przez kanał, chociaż takie rozwiązanie analizowano.

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Koziński**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzciński**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A., 04-190 Warszawa, ul Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa, tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

PBC

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenia?
przez internet
ibo.polskapress.pl

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

INNE

Kupię mieszkanie zadłużone, z trudnym lokatorem, komornikiem, udziały. Gotówka, 883-402-202

Praca

ZATRUDNIĘ

SERWIS sprzątający z gr. niepełnosprawności Błonie tel. 668 085 925

SERWIS sprzątający z gr. niepełnosprawności Ożarów Mazowiecki tel. 668 085 925

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy koło Wadowic - Wielkanoc od 1100 do 1400zł. Możliwość dowozu 501-642-492

KRAJ - MORZE

USTRONIE MORSKIE Pensjonat DANA pobyt z wyżywieniem V-VI od 150 doba 601-585-510 www.danaustronie.pl

Różne

GOTÓWKA za KSIĄŻKI,, 668-571-329

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/tona, 500-669-621

AUTOREKLAMA

aktualne z całej Polski **przetargi**
nasze komunikaty.pl

AUTOREKLAMA

Polecamy →
GOL24
Wszystko o piłce
gol24.pl

eprasa.pl aa87686048

Ten ostatni weekend w Planicy. Stoch żegna się ze skokami

Artur Bogacki
artur.bogacki@polskapress.pl

SKOKI NARCIARSKIE. **Puchar Świata w lotach w Planicy to ostatni akord sezonu. Dla Kamila Stocha to także pożegnanie z kibicami - kończy piękną karierę.**

Plany organizatorom pokrzyżowała pogoda. Planica kojarzy się z wiosenną aurą, dobrą zabawą w blasku słońca. W czwartek było zupełnie inaczej - wróciła zima, padał gęsty, mokry śnieg, który zmuszał co rusz do prac porządkowych na najeździe i zeskoku. W efekcie z dwóch serii treningowych udało się rozegrać, z przerwami, tylko jedną, a i tak przekroczono wstępnie planowany termin.

Ostatecznie kwalifikacje się odbyły, ale nie była to dobra promocja skoków narciarskich. Na Letalnicy można uzyskać ponad 250 m, a wczoraj był problem z lądowaniem za 200 m.

Polacy większej roli w zawodach nie odegrali: trzech z nich dostało się do konkursowej „40" (w lotach jest mniej miejsc niż w innych PŚ). Najwyżej był 36. Piotr Żyła, za nim 38. Aleksander Zniszczoł i 40. Stoch (niewiele brakło 41. Dawidowi Kubackiemu, trochę więcej 48. Klemensowi Joniakowi).

Wygrał Słoweniec Anze Lanisek, choć skoczył tylko 211 m. Domen Prevc (234,5 m) był drugi.

Oczy fanów skoków narciarskich w ten weekend zwrócone są właśnie na Stocha, dla którego start w Planicy jest ostatnim w karierze na skoczni. Z polską publicznością i kibicami pożegnał się już w styczniu w Zakopanem. Po zawodach na Wielkiej Krokwi odbyła się mała uroczystość, nie zabrakło łez.

FOT. MARCIN SZKODZIŃSKI

W zawodach w Planicy Kamil Stoch po raz ostatni wystąpi w Pucharze Świata. Nasz mistrz kończy karierę

Teraz Stoch będzie się żegnał - w roli zawodnika - ze społecznością całych skoków narciarskich. Patrząc na jego karierę, to, ile zrobił dla dyscypliny, to nie tylko „nasze" dobro narodowe, ale i światowego sportu. Jest przecież jedną z największych gwiazd sportów zimowych.

Przed tym sezonem zapowiedział, że w końcu podjął decyzję, którą już kilkakrotnie odkładał - o zakończeniu kariery. Nie ma co ukrywać, że ostatnie lata nie były sportowo dla niego udane. Ostatnie zwycięstwo w Pucharze Świata odniósł ponad 5 lat temu - w styczniu 2021 r., na podium indywidualnie był w grudniu 2021 roku. Potem forma (jak zresztą całej naszej kadry) gdzieś uleciała. I tak już zostało.

Jak na mistrza przystało, Stoch nie poddał się. Próbował odnaleźć klucz do sukcesu, ale to mu się nie udało. Początek tego sezonu był dość obiecujący, lecz oczekiwany przełom nie nastąpił. Ostatnio miał problem nawet z awansem do konkursu: nie powiodło mu się w Vikersund.

Do piątkowych zawodów w Planicy (godz. 15) z trudem się dostał, zapewne wystąpi też w sobotniej „drużynówce" oraz w niedzielnym finale PŚ. Te ostatnie zawody mają inną formułę - zaprezentuje się w nich czołowa „30" PŚ. Stoch na razie jest 31., Żyła 32. Niemniej zabraknie dwóch zawodników z wyższych pozycji - Kacpra Tomasiaka i Jana Hoerla - więc szansa na ten finałowy start jest duża. Tyle że trzeba się obronić w piątek (przewaga nad kolejnym zawodnikiem to ponad 30 pkt.).

Wyniki kwalifikacji: 1. Anze Lanisek (Słowenia) 242,5 (211 m), 2. Domen Prevc (Słowenia) 240,3 (234,5 m), 3. Stephan Embacher (Austria) 239,7 (230 m)... 36. Piotr Żyła (Polska) 186,1 (194 m), 38. Aleksander Zniszczoł (Polska) 184,6 (198 m), 40. Kamil Stoch (Polska) 180,6 (190 m), 41. Dawid Kubacki (Polska) 171,9 (199 m), 48. Klemens Joniak (Polska) 163 (181,5 m). ©℗

Młodzieżówka Brzęczka podejmuje Armenię

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

Dzisiaj w Radomiu prowadząca w tabeli grupy eliminacji młodzieżowych mistrzostw Europy bez straty punktu reprezentacja Polski podejmuje Armienię.

Polska młodzieżówka pod wodzą Jerzego Brzęczka walczy o awans do finałów Euro U-21 i udział w turnieju olimpijskim w Los Angeles 2028.

Po sześciu meczach w sześciodrużynowej grupie E kwalifikacji MME Biało-Czerwoni z kompletem punktów wyprzedzają Włochy (3 punkty straty do lidera), Czarnogórę i Szwecję (po 9 punktów straty), Macedonię Północną (3 pkt na koncie) i Armenię (bez punktu).

Do zakończenia rozgrywek grupowych wszyskie zespoły mają do rozegrania po 3 mecze.

FOT. SYLWIA DĄBROWA

Jerzy Brzęczek dmucha na zimne w kwalifikacjach młodzieżowych mistrzostw Europy 2027

- Jesteśmy w bardzo dobrej sytuacji wyjściowej, ale przed nami jeszcze daleka droga - podkreślił na pierwszej odprawie selekcjoner Brzęczek.

W wiosennym oknie reprezentacji polska młodzieżówka podejmie w piątek, 27 marca, Armenię, z którą wygrała na wyjeździe 4:0, a we wtorek, 31 marca, zagra na wyjeździe w Tuzi z Czarnogórą, którą w październiku odprawiła 2:0.

Pod znakiem zapytania stał przyjazd na przedmeczowe zgrupowanie bohatera meczu z Włochami (2:1), który strzelił zwycięskiego gola w Szczecinie, Macieja Kuziemki, który w ligowym spotkaniu Wisły Kraków z Odrą Opole już w 10. minucie opuścił boisko z powodu urazu oczodołu. „Kuziem" dołączył jednak do kadry i przygotowywać się będzie do drugiego spotkania z Czarnogórą.

Z młodzieżówka przebywa też kapitan reprezentacji U-21 Tomasz Pieńko, którego Brzęczek pominął przy powołaniach z powodu kontuzji. Pieńko nie trenuje z kadrą, ale pracuje z fizjoterapeutami, wpływając na morale zespołu.

Selekcjoner zaprosił też trzech trzech zawodników, którzy wcześniej w reprezentacji U-21 nie grali: Szymona Bartlewicza (rocznik 2005) z Chrobrego Głogów, Daniela Mikołajewskiego (2006) z Parmy i Wojciecha Mońkę (2007) z Lecha Poznań.

Mecz z Armenią rozpocznie się o godzinie 18. Transmisję przeprowadzi TVP Sport.
©℗

Iga Świątek po zwolnieniu trenera wyrusza na Majorkę do Akademii Rafy Nadala

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

Iga Świątek po zwolnieniu trenera Wima Fissette'a nie zdecydowała się na szybkie zatrudnienie następcy Belga. Na razie postanowiła wyjechać na Majorkę do Akademii Rafy Nadala.

Iga Świątek zaskoczyła na początku tygodnia rozstaniem ze szkoleniowcem Wimem Fissette'em po odpadnięciu na starcie turnieju Miami Open z 50. na liście WTA Magdą Linette.

„Po wielu miesiącach współpracy z moim trenerem @fissettewim zdecydowałam się obrać inną drogę. To był intensywny czas pełen wyzwań i wielu ważnych doświadczeń. Jestem wdzięczna za jego wsparcie, doświadczenie i wszystko, co razem osiągnęliśmy" - zakomunikował Świątek na swoim koncie na Instagramie.

„Reszta mojego zespołu pozostaje bez zmian. Wiem, że jest wiele pytań, ale dam wam znać, co będzie dalej, we właściwym czasie. Poświęcam chwilę, aby zadbać o siebie, przetworzyć to doświadczenie i przygotować się na nowy rozdział" - dodała .

Od razu po tej nagłej decyzji „rozwodu" z trenerem, który prowadził Igę przez 18 miesięcy, świętując z nią 4 tytuły (Wimbledon, Cincinnati, Seul i drużynowy United Cup w Sydney) rozgorzała dyskusja, kto zastąpi belgijskiego coacha w sztabie sześciokrotnej mistrzyni Wielkiego Szlema.

Wśród potencjalnych następców Fissette'a początkowo wymieniany był ojciec duńskiej tenisistki, byłej pierwszej rakiety świata i triumfatorki Australian Open, Caroline Wozniacki - Piotr. 63-letni rodzic Caroline od razu jednak zdementował plotki o podjęciu współpracy ze Świątek, twierdząc, że jako dziadek musi opiekować się wnukami. Zasugerował jednak głośne nazwisko w tenisowym światku - męża byłej tenisowej gwiazdy Agnieszki Radwańskiej, Dawida Celta, który jest wziętym komentatorem tenisowym oraz kapitanem kobiecej reprezentacji Polski w meczach Pucharu Billie Jean King, w których również prowadził Świątek.

Trzecia obecnie rakieta świata nie podjęła jednak tematu wyboru Celta na swojego coacha. Zdecydowała się wyjechać, jak w zeszłym roku, na Majorkę, aby w ciszy i spokoju przygotować się w tamtejszej Akademii Rafaela Nadala do sezonu na kortach ziemnych. Oczekuje się, że będzie jej towarzyszył szkoleniowiec, który jest rozważany jako kandydat na nowego trenera.

Informacje te pochodzą głównie od trenerki filipińskiej tenisistki Alexandry Eali, Joan Bosch, która zwróciła się do akademii z prośbą o zorganizowanie sesji treningowej z byłą numer 1 światowego rankingu po jej przyjeździe na Baleary.

Trener przygotowania fizycznego Świątek, Maciej Ryszczuk, ujawnił, że Iga ma nadzieję znaleźć następcę Fissette'a w ciągu najbliższych kilku tygodni. Plan zakładał, że Świątek pojedzie na pierwszy turniej na mączce WTA 500 Porsche Tennis Grand Prix w Stuttgarcie z nowym trenerem. Halowy turniej na kortach ziemnych rozpocznie się 13 kwietnia, pozostawiając niecałe trzy tygodnie na znalezienie nowego mentora.

Oznacza to, że Iga nie zagra w reprezentacji Polski w meczu BJKC z Ukrainą w Gliwicach 10-11 kwietnia.
©℗

FOT. JAKUB PIKULIK

Iga Świątek po sensacyjnym zwolnieniu trenera Wima Fissette'a postanowiła polecieć na Majorkę poćwiczyć w ciszy i spokoju w Akademii Rafaela Nadala

eprasa.pl aa87686048

Polska
Piątek–niedziela, 27–29.03.2026

serial z rolą Chucka Norrisa
napięta w gitarze
samolub
Fran-cois, pisarz
dodatnia cecha
czysty klej kostny
napój w kuflu
szpak lub gil
zator
słoweński pro-ducent nart
włókno na powrozy
typ piosenki kabaretowej
komedia Juliusza Machul-skiego
mongol-ski namiot
kuzyn żyrafy
...
Kolberg
kuzynka kruka
ojczulek
cieszy sadow-nika
paciorki na szyi
laska żebraka
zwiewna tkanina
zmowa mil-czenia
rodzaj dekoltu
tandetny wyrób
złota w sadzie
„Panna ...", film Wajdy
teść Kajfasza
grecki filozof
„... nad i"
morski dra-pieżnik,
niewy-godne łóżko
wśród domo-wego ptactwa
dobra ... nie zawada
polana reglowa w Tatrach
duże miasto w Japonii
... to najlepszy lekarz
popu-larny proszek do prania
narzę-dzie ogrod-nika
kasetowa lub termobaryczna w rosyjskim arsenale
sztywna tkanina
brat Kosmy
mu-zyczna klamra
arena zapaś-ników
archa-iczna era
prawnik zatrud-niony w firmie
dolna epoka jury
model Polo-neza
nawijane na szpulkę
w ręku furmana
szyb na odpadki
gród króla Priama
wielkie ssaki morskie
perski
sztuczna skóra
szable odyńca
krewny po mieczu
łobuziak, andrus
porcja dla martena
czasem brane za pas
carski dekret
balowa lub gimnas-tyczna
rodzaj surduta
pisemna kara
schodzi z gór
serbskie miasto trzecie pod wzglę-dem ludności
myśl prze-wodnia
pochy-łość
har-cownik
umiar, delikat-ność
amory ciet-rzewi
aroma-tyczny napój
dyskiem lub osz-czepem
powieść Emila Zoli
Buzz, drugi człowiek na Księ-życu
resztka jedzenia
Pucka lub Bot-nicka
pawian masajski
liczne w kar-nawale
producent sprzętu AGD
werwa, wigor
pasza jak choroba
cukrowa lub szklana
bogini zwycię-stwa
jedzie na sygnale
nać buraków ćwikło-wych
poręka na wekslu
szef filmo-wego gangu
zdobi ściany Wawelu
mały sa-mocho-dzik do zabawy
aloza amery-kańska
stolica z Kolo-seum
rodak ze Wscho-du
płynny miód
ozdobna narzuta
daszek nad pale-niskiem
narzutka dla modnisi
ostry zakręt górskiej drogi
gruszka miłosna
faworyt osoby wpły-wowej
stary lub mal-tański
wyraźnie okreś-lone ży-czenie, postulat
kraj nad Zatoką Gwi-nejską
półbut z mesz-kiem
gruby koc
turecka potrawa
kuszona przez węża w raju
obszar z Gren-landią
dawny budow-laniec
tropi-kalny pół-krzew
postać z „Aidy"
wigilijna ryba
motyw w sztuce
żelazny kołnierz
spływa z gór
polski pies gończy
nośność dźwigu
odleg-łość między kołami
pomido-rowa w wazie
jezioro na Mazurach
żerdzie
typ orkiestry rozryw-kowej
dział-kowy szkod-nik
czarne sukno, symbol żałoby
lew górski
Ada, polska śpie-waczka
zbior-nik na paliwo
plucha, szaruga
poda-wane w wafelku lub w pu-charku
kędzior, pukiel
święty byk egipski
podo-pieczne Apollina
imię Świątek
kosme-tyk do policz-ków
miasto samo-warów
o fazie Księ-życa na po-czątku roku
kapitan biblijnej arki
gaz w po-wietrzu
polski herb szla-checki
tybe-tańskie ssaki
poczt-owy na kopercie
czasem brzmi fał-szywie
imię Paschal-skiej
gdzie zimują?

AUTOPROMOCJA 0210987243

POLSKA
METROPOLIA WARSZAWSKA
w prenumeracie
z Tele Magazynem
12 312 53 88

SŁOWNIK: AKOLADA, ALDRIN, BABUIN, EPAKTA, KROMER, LIAS, RADAMES, SZED.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 27 utworzą rozwiązanie: myśl Karla Krausa.

ROZWIĄZANIE: MUZYKA OPLUKUJE WYBRZEŻE MYŚLI.

eprasa.pl aa87686048